



Agenci jednorazowego użytku

Rosja / M6

Linoskoczek może dojść

Jak Władimir Putin będzie próbował się wyrwać ze ślepego zaułka wojny? Właściwsze pytanie brzmi: czy w ogóle podziela on taką ocenę sytuacji?
pisze Piotr Skwieciński

Wywiad / M14

Ostatni syjoniści

To nie jest dyskusja o tym, jak zdefiniować antysemityzm. Tu chodzi o wykorzystywanie oskarżeń o antysemityzm jako narzędzia politycznego do uciszania krytyki Izraela
mówi Omer Bartov

Kultura / M24

Droga darmowa rozrywka

Wartość wykonawcy poznaje się po liczbie sprzedanych biletów. Co innego popularność – ona wystarczy, żeby grać na imprezach, za które samorządowcy płacą z kieszeni podatników
zauważa Konrad Wojciechowski



Wywiad / M16

Czy Batory był gorszy od Korybuta

To zaczyna wychodzić poza debatę o ostrości języka. Mam obawę, że wypowiedzi sejmowe posłów Kowalskiego czy Czarnka podpalają Polskę

mówi Andrzej Szeptycki

Idee / M22

Sprawa wyobraźni

Baliśmy się, że AI wymknie się spod kontroli i będzie nami rządzić. Nie spodziewaliśmy się, że zacznie pisać wiersze

pisze Sebastian Stodolak



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Polityka groźnych min

Jan Wróbel

Nie raz i nie dwa chciałoby się zapytać, dlaczego ten rząd jest taki słaby. Cóż, układ polityczny, któremu prowadzi Donald Tusk, hołduje przekonaniu, że wystarczy zarządzać kryzysami, a jakoś się do wyborów dociągnie. Wybory zaś to poniekąd ruletka, zatem nie ma co się przejmować na zapas. Układ cieszy się niemałym poparciem społecznym, ma na czele polityka, któremu nie sposób odmówić charyzmy, a opozycja jest rozbita na trzy zwalczające się odłamy prawicy i kameralne „razem” na dokładkę. A jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że największą zaletą rządu Tuska jest słabość opozycji, a nie jakość rządzenia.

Kiedy wybucha na wpół zresztą komiczna sprawa lekarza – aktywisty z KO, umiającego otoczyć opieką własnych kolegów z partii – premier robi groźne miny i zapowiada do spółki z prezydentem miasta Rafałem Trzaskowskim liczne kontrole. Kontrole, zwłaszcza do-
rażne i ogłaszane na konferencjach prasowych, będą substytutem skutecznych działań państwa w obszarze ochrony zdrowia. Kiedy nasi ukraińscy partnerzy prowadzą politykę lekceważenia polskich spraw, a pomagają im w tym Niemcy, Anglicy i Francuzi, premier robi groźne miny i zapowiada intensywne działania rządu – właśnie te, na które jest za późno. Nie widać spójności

w przekazie politycznym dotyczącym edukacji, szkolnictwa wyższego, polityki kadrowej w kulturze ani w prowadzaniu określającym ramy działania przedsiębiorców. Nie widać reformatorskich działań ani w policji cierpiącej – przez cały czas – na wakaty, ani w prokuraturze.

Widać zakupy sprzętu wojskowego i premiera w po-
ciągu do Łomży, widać deklaracje miłości do demokracji... i swobodne interpretowanie prawa, byle rządowe było na wierzchu. Zasadniczo widać rolki, nie widać strategii.

Żelaznym argumentem obecnej władzy jest argument pisowski. Kto domaga się ambitnego rządu, ten jest jego krytykiem, a zatem uprawdopodobnia zwycięstwo PiS; w wariacie zmodernizowanym PiS i Brauna. I to jest prawda: krytyka Tuska ze strony jego własnego obozu faktycznie szkodzi KO, pomaga opozycji. Ale...

PiS w 2023 r. straszył Tuskiem. Miał za sobą imple-
mentację 800+, miał za sobą prowadzone z rozmachem (choć głupie) reformy w sądzie i w szkole, miał okazałą liczbę fotek z zamówieniami sprzętu wojskowego. W mę-
tliku wyrzekania na agentów, postkomunistów i gender zgubił jednak wizerunek partii mającej pozytywny po-
mysł na Polskę. I utracił władzę. ©



FOT. MIKE SEGAR/REUTERS/FORUM

USA / M10

Zawiedzeni zawodami przyszłości

Dzisiejsi absolwenci słyszą z jednej strony, że modele językowe zmiotą miliony miejsc pracy, z drugiej – że muszą się nauczyć korzystać z AI, jeśli nie chcą zostać w tyle

relacjonuje Emilia Świętochowska

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Place:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)



Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania i skracania tekstów.
Rozpowszechnianie materiałów
redakcyjnych zarówno w formie elek-
tronicznej, jak i papierowej bez zgody
wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykl, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; ©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FIP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Glowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wierczokiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biurowie Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.



Zamówienia na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

Agenci jednorazowi



Zabójstwo rosyjskiego dysydenta w Białej Podlaskiej, tajemnicze podpalenie ukraińskiej restauracji w centrum Warszawy oraz nieco wcześniejsze incydenty w wielu państwach Europy mogą mieć bardzo niepokojący, wspólny mianownik – użycie agentów proxy

Witold

Sokała

Według Słownika języka polskiego PWN „proxy” to „pomocniczy komputer przyspieszający dostęp do (...) stron internetowych lub zabezpieczający (...) przed atakami z zewnątrz”. W terminologii stosowanej przez specjalistów od bezpieczeństwa międzynarodowego „proxy” oznacza z grubsza to samo, tyle że w odniesieniu do podmiotów sięgających śmierć, zniszczenie, chaos i dezinformację. Chodzi o wykorzystanie pośrednika w celu ułatwienia ataku na cudze newralgiczne interesy przy jednoczesnym zabezpieczeniu własnych.

W latach zimnej wojny konkurencyjne supermocarstwa toczyły cudzymi rękami liczne „proxy wars”, wojny zastępcze, podgryzając się wzajemnie, ale nie wystawiając się bezpośrednio na polityczną odpowiedzialność i pełnoskalowy odwet. Ostatnio mamy zaś do czynienia z „agenturą proxy”, czyli wykorzystywaniem bardzo tanich pośredników do działań asymetrycznych, dywersyjnych i terrorystycznych. Tanich w podwójnym znaczeniu – zarówno jeśli chodzi o koszt ich pozyskania i szkolenia, jak i o późniejsze koszty związane z efektem ich działania. Te pierwsze są pomijalnie małe

wobec nakładów związanych z wykształceniem oficera wywiadu lub operatora sił specjalnych. Te drugie – polegające na militarnych, politycznych czy ekonomicznych reperkusjach ataku – mogą być z punktu widzenia agresora wręcz ujemne (w pewnych okolicznościach atak ten może generować dodatkowe zyski, zwłaszcza propagandowe).

Hodowla bandytów

Sam pomysł nie jest bynajmniej odkrywczy. Jak świat światem, przeróżne wywiady korzystały nie tylko z etatowych, profesjonalnych funkcjonariuszy, lecz także stosowały swoisty outsourcing. Pozytkiwały informację od podróżujących kupców albo dobrze obeznanych w cudzych słabostkach spowiedników, wykorzystanie infrastruktury pocztowej, a wreszcie powierzanie części zadań logistycznych oraz „mokrej roboty” kontrolowanym przez siebie mafiom lub pospolitym przestępcom – to wszystko sprawy dosyć dobrze znane, wielokrotnie opisywane w różnych miejscach, od fachowych instrukcji po literaturę popularną. Złota fizyczna przemoc realizowana rękami bandytów ma długą historię. Kadrowy oficer służb specjalnych jest bowiem zazwyczaj zbyt cenny, żeby narażać

go na niebezpieczeństwa związane z wymachiwaniem bronią albo podkładaniem bomb. W razie wpadki zbyt łatwo go przy tym powiązać z mocodawcami, co dla tych drugich byłoby kompromitujące.

Stosunkowo nieliczne znane wyjątki od tej reguły powodowane były profesjonalnym błędem czy pośpiechem albo szczególnym stopniem technicznego skomplikowania finalnego działania, którego amator nie byłby w stanie prawidłowo wykonać, ewentualnie przewrotną chęcią zademonstrowania siły i determinacji przez stojące za taką operacją państwo. Takie motywy mogły uzasadniać np. bezpośrednią aktywność kadrowych oficerów służb izraelskich w eliminacji rozsiadanych po świecie nazistów, ale też analogiczne modus operandi rosyjskiego wywiadu w zamachach na Aleksandra Litwinienkę i Siergieja Skripala na terytorium Wielkiej Brytanii czy wysadzeniu składów amunicji w czeskich Vrbeticach. W praktyce znacznie częściej zdarzało się jednak, że przeróżne wywiady – nie tylko te z centralą w Moskwie – sięgały w takich przypadkach po usługi „zaprzysiężonych” rzezimieszków. Tak było, gdy specjalne komando strzelało w kolana sympatykom ETA w Kraju Basków. Tak było, gdy dygnitarze PRL po cichu rozkręcili aferę „Żelazo”, czyli gangsterskie napady w zachodnich Niemczech. I po-

tem, gdy powołane przez pekińskie służby specjalne Biuro 610 tropiło na całym świecie i eliminowało członków religijnego ruchu Falun Gong. Nawet całkiem niedawno, gdy rosyjscy sponsorzy masowej migracji do Europy bardzo dbali, żeby owe „antropopotoki” (to termin ukuty przez moskiewskich ekspertów od walki asymetrycznej) zawierały odpowiedni odsetek przestępców, których następnie wykorzystywano do destabilizacji wewnętrznego bezpieczeństwa wybranych państw.

Czym innym jest jednak wykorzystanie „gotowego” przestępcy, który od czasu do czasu, w przerwie w zwykłej zbrojeckiej aktywności, za pieniądze albo za jakieś niematerialne korzyści wykonuje brudne zlecenie na rzecz tajemniczych dżentelmenów pozostających w bezpiecznym oddaleniu, a czym innym celowe wyhodowanie takiego zleceniobiorcy. Przekształcenie normalnego, uczciwego człowieka w zabójcę, złodzieja, podpalacza. W dodatku – z założenia – jednorazowego użytku. To jest właśnie to novum, które na naszych oczach staje się jedną z podstawowych metod działania niektórych służb. Taki „doraźny agent proxy” – z punktu widzenia wywiadu pozainformacyjnego – ma liczne przewagi nad zawodowym przestępcą. Choćby takie, że jest zazwyczaj tańszy, a bodaj zawsze bardziej naiwny, więc łatwiej- ➤

szy do poprowadzenia. No i zmniejsza się ryzyko wpadki lub odwrócenia gry. Środowiska przestępcze bywają infiltrowane przez inne służby oraz przez policję, więc ów „regularny bandyta” może się okazać cudzym agentem. A przypadkowy cywil? W jego przypadku prawdopodobieństwo jest bliskie zeru.

Śladami Al-Kaidy i ISIS

Jak to zwykle z innowacjami bywa, prekursorami były podmioty niepaństwowe. Gdy wywiady i kontrwywiady państw zachodnich nauczyły się w miarę skutecznie paraliżować wrażliwość siatek profesjonalnych terrorystów i dywersantów z organizacji islamistycznych, ci sięgnęli po doraźnie werbowanych pośredników. Kluczowym ułatwieniem był rozwój technologii – najpierw upowszechnienie się internetu i mediów społecznościowych, potem eksperymenty z kryptowalutami. Schemat był taki: na portalach i w komunikatorach typowano szczególnie podatne jednostki, potem odpowiednio obrabiano je psychologicznie, a w finale zadaniowano do rozproszonych ataków. Co prawda o niewielkiej skali i dotkliwości, ale na tyle licznych, że w ostatecznym rachunku mogły dawać polityczny efekt zbliżony do wielkich, masowych zamachów. Obieg finansowy, realizowany poza kontrolą państwowych instytucji, działał tu jako wzmacniacz dwojako – po pierwsze, generując niezbędne środki lub pomagając typować i werбовать potencjalnych realizatorów, a po drugie, zapewniając dyskretne przekazywanie opłat.

Było tylko kwestią czasu, żeby po podobne instrumenty sięgnęły niektóre państwa. Jednym z pierwszych był Iran. Wykorzystał doświadczenia ugrupowań terrorystycznych, także tych, które już wcześniej aktywnie wspierał, przede wszystkim do serii ataków na obiekty związane z kulturą i religią żydowską, a także na irańskich dysydentów działających na emigracji. W Wielkiej Brytanii odsiaduje już swój wyrok niejaki Maged-Husejn Dowtajew, obywatel austriacki pochodzenia czeczeńskiego, który najpierw został – wraz ze swym ojcem – oszukany na sporą sumę pieniędzy, a potem „naprowadzony” na londyńską siedzibę niezależnej (aczkolwiek sponsorowanej przez Arabię Saudyjską) stacji TV Iran International. Tajemniczy przyjaciel przekonał go, że znajduje się tam baza jego krzywdzicieli, po czym – oferując wynagrodzenie 2,5 razy wyższe niż kwota wcześniejszej straty – poprosił o dokonanie szczegółowego rozpoznania obiektu. Jak się potem okazało, miało ono posłużyć planowanemu zamachowi, stąd wydany w 2023 r. wyrok za współudział. Żadnych pieniędzy od zleceniodawcy Czeczen oczywiście nigdy nie zobaczył.

Płotki, które dotychczas wpadały w ręce służb bezpieczeństwa, nie zawsze wywoływały się ze społeczności islamskich. Spece z Teheranu potrafią zarzucać wędki także w innych jeziorach. Przed londyńskim wymiarem sprawiedliwości dwa lata temu stanęli np. Nandito Bada i George Stanaeden, dwaj młodzi Rumuni. Dźgnęli nożem Pourię Zeraatiego, pracującego dla Iran International brytyjskiego dziennikarza pochodzenia perskiego. Prowadzeniem rozpoznania przed

tym atakiem i śledzeniem ofiary zajął się z kolei pewien Grek.

Ostatnio, po rozpoczęciu otwartych ataków USA i Izraela na państwo ajatollahów, tego typu akcje wyraźnie się nasiliły. Za część z nich jest już sądzony w Nowym Jorku Mohammad Al-Saadi, obywatel irański zatrzymany niedawno w Turcji. Najprawdopodobniej – z ramienia kontrolowanej przez Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej organizacji Kata'ib Hezbollah – koordynował on grupę doraźnie pozyskanych „wolontariuszy”, którzy dokonali kilku, a planowali co najmniej kilkanaście akcji w Stanach Zjednoczonych i Europie. Do części takich ataków, przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii, przyznała się inna organizacja (Harakat Ashab al-Yamin al-Islamiya; HAYI), ale sposób działania był zbliżony. Finalnym wykonawcą byli często przypadkowi młodzi ludzie, niekiedy związani wcześniej luźno ze strukturami przestępczymi (ale niekoniecznie), zwerbowani i zadaniowani zdalnie przez tajemniczych nieznajomych, którzy w większości rozplynęli się potem we mgle.

Ukraina na pierwszej linii

Na modyfikację rosyjskich działań w krajach Zachodu zapewne wpłynął nie tylko dobry przykład sojuszników z Teheranu, lecz także, i to w znacznym stopniu, mocne przetrzepanie zawodowej agentury, czyli kadrowych oficerów zainstalowanych w ambasadach, biznesie i mediach, na uczelniach czy w organizacjach (teoretycznie) pozarządowych. Po pełnoskalowej agresji na Ukrainę Stany Zjednoczone i liczne państwa europejskie odesłały sporą część tego towarzystwa do domu, a reszcie założyły solidne „ogony”, utrudniając zarówno działania bezpośrednie, jak i kontakty z grupami przestępczymi. Z konieczności trzeba było poszukać nowych metod.

Pomogły testy prowadzone na obszarze postradzieckim. Szczególnie intensywnie w odniesieniu do Kijowa. Wedle oficjalnych danych Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) tylko od 2022 r. około 1,2 tys. osób zostało tam oskarżonych o zdradę swego kraju w związku z aktami terrorizmu lub sabotażu (zazwyczaj podpaleniami). Co piąta z nich to osoba nieletnia. Ukraińskie Ministerstwo Sprawiedliwości podaje, że połowa tych nieletnich otrzymała wyroki pozbawienia wolności, reszta została skazana na prace społeczne lub zwolniona za kaucją. Część uniewinniono.

Schemat jest podobny. Najpierw typowanie osób podatnych z uwagi na wyrażane wcześniej lub środowiskowe sympatie prorosyjskie, niekiedy powiązania ze światem przestępczym, ale coraz częściej po prostu na trudną sytuację materialną. Potem rekrutacja – niemal w 100 proc. online, przez nieznajomych posługujących się pseudonimami. Obietnica wynagrodzenia, zazwyczaj śmiesznie niskiego jak na nasze, zachodnie standardy. Na przykład 15-letni Witalij z okolic Czernichowa, którego casus szczegółowo opisał Reuters w specjalnym raporcie, za podpalenie wraz z grupą kolegów szafek ze sprzętem łączności kolejowej miał w 2024 r. otrzymać równowartość 23 dol.

Chciał je wydać na prezent dla brata lub na przybory szkolne.

Niewiele wyżej wyceniano konstruowanie i użycie, pod zdalnym nadzorem speców z rosyjskiego wywiadu, improvisowanych ładunków wybuchowych – choć to działanie i bardziej szkodliwe, i bardziej ryzykowne dla zainteresowanych (wielu młodych proxy-agentów zginęło w trakcie amatorskiego manipulowania przy tych bombach). Skala zjawiska spowodowała zresztą, że zainteresowało się nim nawet Biuro Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka, w raporcie z marca 2025 r. przyrównując wskazaną aktywność Rosjan do wykorzystywania dzieci-żołnierzy przez warlordowskie bandy w rozlicznych konfliktach hybrydowych globalnego Południa. Oczywiście, starsi też padają ofiarą podobnego werbunku, ale zdesperowane i naiwne nastolatki są nań szczególnie podatne, a poza tym tańsze.

Rekrutacja proxy-spiegów oraz ich działanie nie ogranicza się do Ukrainy. W zeszłym roku w co najmniej połowie przypadków rosyjskiego sabotażu w całej Europie mieliśmy już do czynienia z opisanym schematem zdalnego angażowania, zadaniowania i kontroli (charakterystyczny jest wymóg zrobienia zdjęcia lub nagrania filmu w celu udokumentowania ataku, a następnie przekazania go zleceniodawcy przez kolejnych pośredników). W pierwszych miesiącach 2026 r. odsetek tego typu ataków systematycznie rośnie. Coraz częściej w roli głównej pojawiają się w nich nastolatki – już kilkunastu zostało aresztowanych m.in. w Polsce, na Litwie, w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Autorzy scenariusza, reżyser i inspicjent pozostają za kulisami, ale wiele tropów i poszlak wskazuje, że działają z Rosji.

Szybki wypad po gotówkę

Bezpośrednimi wykonawcami aktów dywersji i terroru bywają przedstawiciele różnych nacji. Na przykład w połowie 2025 r. za podpalenia magazynów ze sprzętem satelitalnym przeznaczonym dla walczącej Ukrainy, a także za atak na restaurację i próbę porwania jej właściciela (znanego z krytykowania Władimira Putina) londyński sąd skazał w odrębnych postępowaniach obywateli brytyjskich: Dylana Earla, Jake'a Reevesa, Nii Koyo Mensaha, Jakeema Rose'a i Ugniusa Asmenę (wszyscy w wieku 20–23 lat). Udział Ukraińców pozostaje jednak znaczący – można domniemywać, że to nie tylko kwestia względnej łatwości rekrutacji, lecz także rachuba zleceniodawcy na dodatkowe zyski polityczne i propagandowe. Niespełna tydzień temu w Londynie skazany został Roman Ławrynówycz, 22-letni obywatel Ukrainy. W zeszłym roku próbował on dokonać podpalenia nieruchomości i samochodu związanych z premierem Keirem Starmerem. Działał na polecenie tajemniczej osoby, którą znał jako „El Money”, kontaktującej się z nim przez komunikator Telegram i poznanej tam przy okazji poszukiwania pracy na budowie. Relacja rozwijała się przez siedem miesięcy. Ławrynówycz wcześniej otrzymywał pieniądze za rozwieszanie plakatów w Londynie, zaś część płatności realizowana była w kryptowalutach. Wraz z nim byli sądzeni dwaj inni Ukraińcy (w tym je-

den z rumuńskim paszportem). W trakcie procesu wszyscy zaprzeczyli, jakoby znali Starmera, ponoć w ogóle nie wiedzieli, kogo w gruncie rzeczy atakują, wskazali natomiast, że podjęli się „tej pracy”, ponieważ gwałtownie potrzebowali pieniędzy. W przypadku Ławrynówycza – aby pomóc choremu ojcu.

– Oczywiście jest, że celem operacji było wzbudzenie strachu u premiera oraz zaatakowanie Wielkiej Brytanii, ale dla wykonawców był to „szybki wypad po gotówkę” – skomentowała w brytyjskich mediach Helen Flanagan, szefowa struktur londyńskiej policji odpowiedzialnych za zwalczanie terroryzmu. Rosyjskie tuby propagandowe wykorzystały oczywiście dogodną okazję, by szczuć opinię publiczną przeciwko Ukraińcom jako „narodowi genetycznych bandytów”.

Co ciekawe, z brytyjskiego śledztwa wynika, że zleceniodawcą w podobnych przypadkach nie zawsze bywają rosyjskie służby specjalne. Nieoficjalnie wiadomo, że policja i kontrwywiad rozpatrywały też inne hipotezy – z innymi, sojuszniczymi wobec Rosji ośrodkami (Białorusią, ale także Gruzją) w roli głównej. Część tropów miała prowadzić do kręgu współpracowników Ramzana Kadyrowa, lojalnego wobec Putina lidera czeczeńskiego, a także do bliżej nieznanych oligarchów rosyjskich, którzy jakoby chcieli w ten sposób podliznąć się swemu prezydentowi.

To zresztą niewiele zmienia, ostatecznym beneficjentem i tak jest Kreml. Niezależnie od tego, kto zleca konkretną akcję, nie wystarczy zwiększenie liczby patroli w newralgicznych miejscach, doskonalenie procedur ochrony infrastruktury krytycznej ani postawienie ochroniarza nawet przy każdym krytyku rosyjskiej polityki. Nie wystarczy też wzmocniony monitoring potencjalnych sprawców, bo jest ich zbyt wielu i są zbyt trudni do wyprzedzającej identyfikacji.

Oczywiście, tego typu działania też mają sens, ale trzeba jeszcze czegoś bardziej subtelnego. Żeby nie dać się zastraszyć i sparaliżować spodziewanej fali „proxy-ataków” dywersyjnych i terrorystycznych, niezbędna jest szerzej zakrojona akcja obejmująca także ofensywne działania wywiadowcze (bo informacje o planowanych operacjach najłatwiej pozyskać u źródeł), a także kampania edukacyjna wskazująca potencjalnym „proxy-agentom”, że tajemniczy przyjaciele z internetu bynajmniej nie są bezinteresownymi dobroczyńcami, że zamierzają ich wykorzystać i porzucić. To wszystko zaś wymaga skoordynowanych działań międzysojusznicznych, na poziomie bardzo różnych instytucji, tych tajnych także. I, last but not least, poprawy atmosfery w relacjach polsko-ukraińskich na poziomie jednostek, żeby nie ułatwiać roboty rosyjskim macherom. ©



Witold
Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po.Int, publicysta DGP

FOT. WOJTEK GÓRSKI

REKLAMA



NBP zgromadził już ponad 613 ton złota

Dzięki temu Polska
znajduje się w elitarnej
dziesiątce państw
o największych zasobach
złota na świecie.



Zwiększamy rezerwy do 700 ton złota



prof. Adam Glapiński
Prezes NBP

*„Będziemy złoto kupować
dalej, na tyle, na ile
będziemy znajdować okazje,
żeby je korzystnie nabywać.*

*Jak uczą nasze doświadczenia historyczne, złoto
stanowi kotwicę bezpieczeństwa państwowego, filar
zaufania do naszej waluty i gospodarki, gwarancję
niezależności państwowej i gospodarczej. Nasze trzy
zasady podstawowe to oczywiście bezpieczeństwo,
płynność i dochodowość w długim terminie”.*

Zeskanuj kod QR
i dowiedz się więcej



NBP.pl

Linoskoczek może dojść

W Rosji narasta przekonanie, że w piątym roku wojny znalazła się ona w ślepych zaułku. Jak Władimir Putin będzie próbował się z tego zaułka wyrwać? Właściwsze pytanie brzmi: czy w ogóle podziela on taką ocenę sytuacji?

Piotr

Skwieciński

To oczywiste, że przełom czwartego i piątego roku wojny przyniósł wielką zmianę w konflikcie: dzięki zdobyciu przewagi w technologiach dronowych (powietrznych, ale też naziemnych) Kijowowi udało się w zauważalnym stopniu zniwelować efekty rosyjskiej przewagi liczebnej i materialnej. Efekty, które – narastając od chwili wypalenia się ukraińskiej nieudanej ofensywy z lata 2023 r. – uprawdopodobniały w oczach wielu, że ostatecznie front obrońców runie, a rząd Ukrainy zostanie zmuszony do proszenia o zawieszenie broni na dowolnych warunkach.

Notabene ukraińscy wojskowi bardzo wysokiego szczebla co najmniej od roku sugerowali, że drony już niedługo mogą zredukować liczbę koniecznych do utrzymania kilometra frontu żołnierzy wręcz kilkukrotnie, co radykalnie zmniejszyłoby znaczenie problemu, jaki miał (i w jakiejś mierze ma dalej) Kijów z zapewnieniem wystarczającej liczebności armii. To, co oglądamy obecnie, dowodzi, że mieli słusność.

„W listopadzie podpisałem kontrakt o półrocznej służbie wojskowej i dużo jeździłem po Donbasie. Wtedy większość tamtejszych dróg była mniej więcej bezpieczna. Jednak w ciągu ostatniego półtora miesiąca praktycznie wszystkie zaczęły przypominać drogę śmierci. Wcześniej ryzyko, że cię zabiją, było 1-proc., potem wzrosło do kilkunastu procent, a dziś to już mniej więcej 50 na 50” – mówi Zachar Prilepin, zaangażowany w wojnę przeciw Ukrainie, ultranacjonalistyczny rosyjski pisarz.

Rosyjskie straty ludzkie wzrosły do stopnia co najmniej utrudniającego utrzymywanie stałej liczebności walczącej armii. Przy czym są to teraz, odwrotnie niż we wszystkich chyba dotychczasowych konfliktach zbrojnych, przede wszystkim nie ranni, tylko zabici, bo uderzający precyzyjnie dron kamikadze raczej zabija, niż zrani żołnierza piechoty. Ponadto, co również jest nowym trendem, a co można wyczytać z kanałów „korespondentów wojennych” na Telegramie, wśród tych, którzy przeżyli, drastycznie wzrósł odsetek trwale okaleczonych – niezdolnych do pracy i uprawnionych do renty. Wszystko to razem zaczyna osiągać skalę, która może

wywrzeć zauważalny, negatywny wpływ na rosyjską ekonomię i demografię.

Paradoksalnie mamy więc do czynienia z odwróceniem dotychczasowej logiki tej wojny. Dotąd Rosjanie i sprzyjający im zachodni obserwatorzy wielokrotnie ekscytowali się perspektywą zadania Ukrainie strat ludzkich uniemożliwiających jej dalszą walkę czy wręcz trwałą eliminacją skłonnych do oporu przedstawicieli tego narodu („Wybiliśmy całe nastawione antyrosyjsko pokolenie młodych ukraińskich mężczyzn!” – zdarzało się czytać w nacjonalistycznych społecznościówkach). Ukraińcy natomiast bili przede wszystkim w rosyjską technikę, to ją uznając za miękkie podbrzusze wroga. Dziś gołym okiem widać, że nastąpiła tu zamiana.

Cel gdzieś uleciał

Perspektywa jakkolwiek rozumianego ostatecznego zwycięstwa Rosji co najmniej się więc oddaliła. A dodatkowo zaczęły w niej narastać nieprzyjemne rozmiarów katastrofy, lecz coraz bardziej dotkliwe ekonomiczno-społeczne skutki wojny. Fala widocznego rozczarowania sytuacją przyjęła zarazem dostrzegalne już wymiary. Spowodowały ją dwa czynniki jednocześnie.

Po pierwsze – długotrwałość konfliktu. Na początku wojny Putin sugerował wprawdzie, że nic się nie stanie, jeśli potrwa on – do pełnego zwycięstwa – nawet i kilkanaście lat, ale niezależnie od tego, czy tylko robił wtedy dobrą minę do złej gry, czy naprawdę tak uważał, to nie jest skala naturalna dla współczesnego człowieka (nawet Rosjanina) intuicyjnie nastawionego na osiągnięcie życiowej satysfakcji w znacznie krótszym czasie. Po drugie zaś – nieadekwatność sukcesów, tych osiągniętych i tych możliwych do realistycznego pomyślenia, do skali sukcesów zapowiadanych.

„Władimir Putin popełnił ogromny błąd. Ogłosił bardzo daleko idące cele tej wojny. Dzisiaj widać, że ich nie zrealizował i na pewno już ich nie osiągnie. Sytuacja w Rosji pogarsza się właśnie dlatego, że ludzie coraz częściej zadają sobie pytania. I nie chodzi tylko o zwykłych ludzi, lecz także o członków bliskich Kremlowi elit. Zaczynają pytać: Czy po to, żeby zająć Donbas, musiało zginąć tak wielu rosyj-



skich żołnierzy? Czy to ma być to wielkie zwycięstwo?” – opisał tę sytuację w rozmowie z Money.pl profesor Władimir Ponomariow, przez całe życie bliski rosyjskim elitom państwowym, dziś emigrant.

„Nie mamy pomysłu na zwycięstwo – ogłosił ostatnio z goryczą cytowany wyżej Prilepin. „Brakuje nam sił, ducha i dyscyplinowania. Co najważniejsze – brakuje nam jasno określonego celu. Nie mamy celu, którym byłoby zwycięstwo”.

Mnożą się sygnały świadczące, że brak wiary w ostateczne zwycięstwo można już demonstrować otwarcie. Tytułem przykładu: w periodyku „Rosja w Polityce Globalnej”, najbardziej prestiżowym pośród periodyków zajmujących się polityką międzynarodową, Wasilij Kaszin, politolog z Wyższej Szkoły Ekonomii, pisze otwarcie o nierealności strategicznego przełomu w wojnie, a wierzących w taką możliwość nazywa sektą. Wojnę – twierdzi – trzeba było zacząć, bo bez niej Ukraina i tak stałaby się „Antyrosją”, co najwyżej trochę później, a tak przynajmniej została osłabiona. Ale będzie ona dalej istnieć jako państwo, z tą samą władzą i ideologią co dotąd. A wojnę – sugeruje – trzeba kończyć, bo „nie leży w naszych interesach bez końca przepalać pod Małą Tokmaczką (wieś w obwodzie zaporoskim, o którą krwawe walki trwają już 1500 dni) zasoby potrzebne dla długofalowej walki z Zachodem”.

Co z tym Trumpem

Łączy się to z bardzo dobrze widocznym, ostatecznym już chyba rozczarowaniem Rosjan Trumpem. Wcześniej bardzo wyraźne były nadzieje, że nawet jeśli nie dojdzie do jakiegось historycznego porozu-

mienia z Waszyngtonem, to prezydenta USA uda się doprowadzić do tego, żeby wymógł na Kijowie ustępstwa na granicy pełnej kapitulacji. Uznawano też, że zostały sformułowane – nie na piśmie, tylko ustnie, czy to w czasie licznych moskiewskich peregrinacji Steve’a Witkoffa, czy to w czasie szczytu na Alasce – jakieś w tej sprawie ustalenia. Dziś w Moskwie powszechna jest świadomość, że Trump albo nie chce, albo nie potrafi ich zrealizować.

„Uwierzyć w jego wiarygodność, zdolność do zawarcia i dotrzymania porozumienia jest bardzo trudno” – pisze na łamach „Rosji w Polityce Globalnej” wpływowy politolog Sergiej Karaganow. „Możliwość zawarcia porozumienia z Trumpem w jakiegokolwiek kwestii praktycznie nie istnieje. Nikt rozsądny nie uwierzy w ani jedno jego słowo, dlatego siadanie z nim do stołu negocyjnego jest pozbawione sensu” – mówi Onetowi Dmitrij Trenin, również wpływowy politolog, były szef moskiewskiej filii Carnegie Endowment for International Peace.

Ucieczka w eskalację?

Wszystko to skłania wielu – i na Ukrainie, i na Zachodzie – do optymizmu. Do przekonania, że wojna zbliża się do dobrego dla strony napadniętej końca. Według „Ukraińskiej Prawdy” wśród rządzących w Kijowie uważa się, że w październiku–listopadzie „złożą się wszystkie elementy układanki”, bo ukraińska przewaga stanie się już bardzo oczywista, miną rosyjskie wybory do Dumy i amerykańskie wybory połówkowe. Moskwa i Waszyngton zyskają swobodę manewru,



Prezydent Rosji
Władimir Putin na Kremlu.
Moskwa, 9 maja 2026 r.

FOT. GRIGORY SYSOEV/AFP/EAST NEWS

więc otworzy się okienko możliwości rozpoczęcia autentycznych negocjacji.

Inni uważają z kolei, że sygnalizowana wyżej fala frustracji rosyjskiej opinii publicznej może zmusić Putina do negocjacji albo wręcz zmieść go. Bo – głosi ta dość w tej chwili rozpowszechniona opinia – obecna ukraińska przewaga będzie trwać albo wręcz się zwiększać.

Jeśli powyższe oceny sytuacji uznać za prawdziwe, to jak może zareagować na to Putin? Bo narzuca się przecież pogląd, że znalazł się on w ślepej uliczce. A ze ślepej uliczki można się wydostawać na różne sposoby, w tym za pomocą skoku do przodu.

Jest prawdopodobne, że wśród osób mających kontakt z prezydentem Rosji są takie, które podpowiadają mu tego rodzaju rozwiązania. Byłyby one kompatybilne z istotną cechą rosyjskiego myślenia o Zachodzie, którą jest skłonność do przechodzącego w pogardę lekceważenia.

Cytowany wyżej Karaganow jest dobrym przykładem tego zjawiska. Już co najmniej od roku 2023 raz po raz, konsekwentnie na granicy obsesji proponuje on rosyjskim władzom użycie broni jądrowej – taktycznej przeciw Ukrainie albo nawet większego kalibru przeciw jakiemś celowi w NATO. Gdy po raz pierwszy rosyjska machina wojenna zaczęła buksować i pojawiły się pogłoski, że Kreml może próbować złamać Kijów poprzez użycie ładunku jądrowego, administracja Joego Bidena rozmaitymi kanałami przekazała Moskwie jasny komunikat – jeżeli tak zrobicie, to my wprawdzie nie odpowiemy jądrowo, ale uderzymy w was z wielką siłą za pomocą broni konwencjonalnej. Otóż Karaganow wielokrotnie komentował: Nie, nie uderzą. Błefują. Uciekną, bo tylko na to ich

stać. To zdegenerowani tchórze. Karaganow jest pod tym względem może skrajny w sensie demonstrowanego poziomu własnej pewności co do biegu zdarzeń, ale typowy w sensie kierunku myślenia i oceny Zachodu.

Użycie broni jądrowej, nawet taktycznej, to jednak ostateczność. Również dlatego że, jak wszystko na to wskazuje, zdecydowanie sprzeciwiają się temu Chińczycy, których głos jest w obecnym rozdaniu najważniejszy dla Kremla.

Może więc eskalacja konwencjonalna? Świat ekspercki dyskutuje o rozmaitych wariantach takiego działania, zwłaszcza wobec krajów bałtyckich. Ich usytuowanie czyni je trudnymi do obrony i łatwymi do zlekceważenia – ostatecznie są małe i położone gdzieś na krańcu świata...

Rozmaitego rodzaju ostatnie działania władz rosyjskich, od przyjęcia prawa o możliwości użycia armii w obronie obywateli rosyjskich za granicą (uznawani za ofiary dyskryminacji etnicznej Rosjanie z krajów bałtyckich w dużej części mają obywatelstwo Federacji) do insynuacji, jakoby uderzające w okolice Petersburga ukraińskie drony startowały z terenów Łotwy czy Estonii, mogą świadczyć o przygotowywaniu gruntu pod taką akcję. Przy czym jej sensem wcale nie musiałoby być trwał podbicie zaatakowanych terenów, tylko np. zyskanie karty przetargowej, którą potem mogliby oddać – wymienić za ustępstwa Zachodu na Ukrainie.

Drugi front?

Ocena prawdopodobieństwa podjęcia takich działań zależy od tego, jaką naszym zdaniem logiką posługuje się Putin. 24 lu-

tego 2022 r. dowiedział, że nie musi to być nasza logika. Politolog i ekspert wojskowy Borys Pastuchow sądzi, że prezydent Rosji może już od dawna nie myśleć w kategoriach wojny w Ukrainie, tylko uważać, iż już trwa wojna z całym Zachodem, w której Ukraina jest tylko jednym z frontów. Dodajmy, że byłoby to zgodne z tradycją rosyjskiej doktryny wojskowej, jeszcze od czasów radzieckich, w odróżnieniu od analogicznych doktryn zachodnich zamazującej ostrość granicy między czasem pokoju a czasem wojny.

Gdyby istotnie tak było, to – sądzi Pastuchow – ewentualna inwazja na umowną Estonię nie byłaby w oczach Putina żadną jakościową zmianą, tylko czymś ledwie trochę ważniejszym niż np. przerzucenie części sił z kierunku donbaskiego na, powiedzmy, charkowski. I miałyby sens, choćby ten najprostszy – podział sił przeciwnika (Zachodu), zmuszenie go do przerzucenia części swoich zasobów znad Dniepru nad drugorzędny Bałtyk.

Wreszcie możliwy jest jeszcze inny rodzaj eskalacji. Próba wykorzystania, mimo wszystko, atutu liczebności populacji drogą przeprowadzenia mobilizacji. Bez uprzedniego znalezienia sposobu neutralizacji zagrożenia dronowego rzucenie do boju nawet setek tysięcy nowych piechurów mogłoby oznaczać ich hekatombę bez gwarancji osiągnięcia spektakularnych sukcesów. Sensowniejsze mogłoby być stworzenie mechanizmów stałego uzupełniania szeregów przez mobilizację w tym zakresie, w którym dotychczasowa droga komercyjnych kontraktów nie byłaby wystarczająco efektywna. Choć np. Pastuchow uważa, że najważniejszym paradygmatem Putina jest wewnętrzna stabilność Rosji, a tej mobilizacja mogłaby zagrozić, więc jego zdaniem jest ona bardzo mało prawdopodobna.

To tylko wojna psychologiczna?

Nie sposób uznać wszystkich tych wariantów za jednoznacznie nieprawdopodobne. Przecież, jak mówił Churchill, „Rosja jest zagadką owianą tajemnicą ukrytą w enigmie”. Można jednak też spojrzeć na to inaczej. Na przykład tak, jak patrzy brytyjski historyk i rusoznawca Mark Galeotti, który sugeruje, że popularne ostatnio pogłoski o możliwej eskalacji to jedynie element wojny psychologicznej. Bo „kiedy przedstawia się sytuację tak, jakby Europie groziła nieuchronna katastrofa, której można uniknąć wyłącznie dzięki pokojowi na Ukrainie, wówczas rośnie presja na ustępstwa wobec Rosji. W efekcie można dojść do wniosku, że należy zaoferować Moskwie więcej, niż normalnie uznalibyśmy za uzasadnione, tylko po to, by uniknąć scenariusza zagłady, który wcześniej stworzyliśmy sami”. I taki też jest jego zdaniem cel Kremla.

Galeotti nie kwestionuje tego, że wiadać próby przekonania Putina przez część elit biznesowych i technokratycznych, że należy po prostu ogłosić, iż zwycięstwo Rosji już nastąpiło, i zakończyć wojnę. Stwierdza, że Putin, który ma znaną skłonność do zwlekania z podejmowaniem jednoznacznych decyzji, najwyraźniej pozwala, by taka dyskusja się toczyła. Sęk w tym, że nie ma jak dotąd dowodów na to, by taką sugerowaną przez dyskutantów decyzję podjął.

Tym bardziej że przecież nie jest tak, iż Rosja obecnie wojnę jednoznacznie przegrywa, przy czym mniej ważne jest to, że jej wojska wciąż raczej idą do przodu, jeszcze wolniej niż w ciągu ostatnich dwóch lat, ale jednak idą. A pod strategicznie ważną Konstantynówką bliskie wydają się osiągnięcia sukcesu, który oznaczałby poważny wyłom w ukraińskim „pasie twierdzy” w zachodnim Donbasie. Ważniejsze jest to, że rosyjskie kierownictwo, choć ma poważne i narastające problemy, funkcjonuje. Profesor Ponomariow porównał rosyjską gospodarkę z „artystą w cyrku, który kroczy po wysoko zawieszonych linie, balansuje, chwiejąc się raz w jedną, raz w drugą stronę, ale cały czas idzie, kraj funkcjonuje”. Tę metaforę można zastosować nie tylko do ekonomii, lecz także do Rosji i jej wysiłku wojennego jako całości.

Putin wie o problemach (o dziesiątkującym rosyjską piechotę terrorze dronowym mówił otwarcie na spotkaniu z żołnierzami oddziałów szturmowych 14 czerwca), ale zdaje sobie sprawę z czegoś jeszcze. A mianowicie z tego, że obecna wojna, trwająca już dłużej niż pierwsza światowa, przechodziła przez kilka faz. Parokrotnie wydawało się, że któraś ze stron ją wygrywa, czasem wręcz bezapelacyjnie. Tylko że potem karta się odwracała. Zmieniały się też środki prowadzenia wojny i raz jedna, raz druga strona prowadziła w tym wyścigu tarczy z mieczem czy też pociskiem z pancernym.

Jeden z ukraińskich decydentów powiedział ostatnio portalowi Politico: „Okno możliwości ma tendencję do zamykania. Rosja działa szybko i potrafi wprowadzać innowacje. Jeśli damy jej czas na ponowną adaptację, możemy stracić jedyną szansę. A jeśli Rosja opracuje własne drony uderzeniowe średniego zasięgu, będzie to dla nas katastrofa”.

Nie, wszystko to nie znaczy, bym wróżył zwycięstwo Rosji. Obecna sytuacja, inaczej niż większość tego, co działo się od lata 2023 r., sugeruje raczej optymizm, nawet jeśli tylko umiarkowany. Trzeba jednak stwierdzić jasno: ważniejszy od tego, co dzieje się bezpośrednio na placu boju, jest i będzie stan rosyjskiej machiny gospodarczej i państwowej. Dopóki nie pojawią się wyraźne sygnały, że zaczyna ona rządzić, nic nie będzie przesądzone. I niemal wszystko będzie wciąż możliwe. ©



FOT. WOLTEK GÓRSKI

Piotr

Skwieciński

Publicysta. W latach 2019–2022 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie

Nieoczekiwane odwrócenie ról

Ukraina chce mieć status „nieagresywnego Izraela”: zapewniać sobie wsparcie przez uzależnienie świata od własnych technologii zbrojeniowych

Karolina

Wójcicka

korespondencja z Kijowa i Lwowa

Nastroje w Kijowie są dziś bardziej optymistyczne niż przez ostatnich kilka lat. Nie pogarszają ich nawet coraz bardziej intensywne ataki Rosji na obiekty cywilne. Jak przekonuje szef komisji spraw zagranicznych ukraińskiego parlamentu Oleksandr Mereżko, są one oznaką słabości Władimira Putina. – On rozumie, że nie wygrywa, a być może nawet przegrywa. Dlatego zmienia taktykę, stawia na terroryzowanie cywilów. Chodzi o to, by nas zastraszyć i zmusić do kapitulacji – mówi mi Mereżko.

Ukraińcy wierzą, że są na fali wznoszącej. Morale podnoszą doniesienia o kolejnych odbitych terenach. Naczelny dowódca ukraińskiej armii Oleksandr Syrski informował na początku czerwca, że żołnierze odzyskali w tym roku już ponad 600 km kw. Według jego szacunków w maju Ukraina przejęła o 100 km kw. większy obszar, niż straciła. Analitycy twierdzą, że to ważny sygnał świadczący o zmianie dynamiki wojny po latach powolnych, lecz konsekwentnych postępów Rosji.

Przykład dla innych

W dużej mierze jest to zasługa rozwoju technologicznego, w tym rozszerzenia wykorzystania bezzałogowców. „Obecnie ukraińskie drony są w stanie razić cele na znacznie większych odległościach niż na początku wojny, nawet od 30 do 100 km za linią frontu. Poszerza to strefę zagrożenia dla rosyjskich wojsk i zmusza Rosję do kierowania dodatkowych zasobów na ochronę linii zaopatrzenia i infrastruktury” – tłumaczy Council on Foreign Relations. Dzięki technologiom dronowym Ukraina zatopila lub uszkodziła dziesiątki okrętów wojennych, a w rezultacie przełamała rosyjską blokadę portów. Kampania z wykorzystaniem bezzałogowców uderzeniowych dalekiego zasięgu umożliwiła też rozszerzenie teatru wojennego na terytorium wroga.

W Kijowie coraz częściej słychać, że państwo uzależnione od zagranicznej pomocy powoli staje się przykładem dla innych. – Wiele państw przygotowuje się do wojen, które już się wydarzyły – przekonuje Oleg Fedoryszyn, szef działu badań i rozwoju w firmie De-

vDroid, tworzącej oparte na sztucznej inteligencji oprogramowanie dla dronów naziemnych (UGV). Ukraina rozwija i udoskonala je na podstawie doświadczeń z frontu. – Współpracujemy z różnymi brygadami. Wysyłamy im nasz sprzęt, oni wielokrotnie testują go na poligonach, a później zaczynają go używać – opowiada Fedoryszyn.

Informacje zwrotne od żołnierzy trafiają do firmy niemal w czasie rzeczywistym. Podczas naszego spotkania na telefonie Fedoryszyna co chwilę świecą się nowe powiadomienia z WhatsAppa. – Mamy kanały wsparcia dla wszystkich brygad. Większość misji odbywa się nocą, więc również wtedy wpływają pytania i informacje. Nasz zespół wsparcia działa przez całą dobę i potrafi odpowiedzieć w ciągu dwóch, trzech minut, nawet o trzeciej nad ranem. 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Zdarzało się, że dostawaliśmy zgłoszenia cztery minuty po północy w Nowy Rok – wspomina. Dzięki temu inżynierowie na bieżąco śledzą, jak sprzęt sprawdza się w warunkach bojowych, i szybko wprowadzają poprawki.

Dyplomacja dronowa

Z rozmów z przedstawicielami ukraińskiego sektora zbrojeniowego wynika, że przez długi czas świat nie był zainteresowany ukraińskimi innowacjami. – Pierwsze cztery lata wojny spędziłem na próbach przekonania naszych sojuszników do współpracy. Pokazywałem, że mamy rozwiązania, które mogą się im przydać. Zwykle w odpowiedzi słyszałem, że są one niezłe, że Ukraina jest silna i że życzą nam powodzenia. Na tym się kończyło – opowiada mi Ihor Fedirko, szef Ukraińskiej Rady Przemysłu Obronnego (UCDI).

Według niego momentem przełomowym był atak Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran. Teheran odpowiedział atakami na państwa regionu przy użyciu tego samego typu dronów, które Rosja wykorzystuje przeciwko Ukrainie. – Wszystko zmieniło się w jeden dzień. Zgłosiły się do nas nie tylko państwa Zatoeki Perskiej, lecz także Australia, Nowa Zelandia, Japonia, Korea, Brazylia i Kolumbia – wylicza Fedirko.

Do połowy marca Ukraina wysłała zespoły specjalistów do pięciu państw Bliskiego Wschodu, aby pomóc im wzmocnić obronę przeciwlotniczą. Wi-

zytę w regionie złożył również prezydent Wołodymyr Zełenski, który podpisał 10-letnie porozumienia o współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa z Arabią Saudyjską, Katar i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Ukraina zobowiązała się dostarczyć państwom Zatoeki Perskiej kompletny system obrony przeciwlotniczej obejmujący m.in. drony morskie, środki walki elektronicznej oraz technologie przechwytywania irańskich bezzałogowców.

Kijów liczył, że „dyplomacja dronowa” pomoże poprawić relacje z krajami Bliskiego Wschodu, które po 24 lutego 2022 r. w większości zajęły neutralne stanowisko wobec rosyjskiej agresji. Pojawiały się też nadzieje na ich większe zaangażowanie finansowe, które mogłoby częściowo zrekompensować ograniczenie wsparcia przez Amerykanów. Jest też aspekt czysto praktyczny. Gdy systemy działają w zróżnicowanych warunkach klimatycznych, terenowych i operacyjnych oraz są używane przeciwko odmiennym typom celów, generują znacznie więcej danych. A więcej danych to szybsze wykrywanie słabości, szybsze poprawki i szybszy rozwój nowocześniejszych wersji uzbrojenia. W tym sensie każdy nowy partner zagraniczny staje się dla ukraińskich firm zbrojeniowych kolejnym poligonem doświadczalnym.

Centrum danych o wojnie

Najważniejszy cel jest bardziej strategiczny. Obecność na Bliskim Wschodzie – ale również w Europie czy Azji – ma pomóc Ukrainie na stałe włączyć się w międzynarodową architekturę bezpieczeństwa. Chodzi o uzyskanie statusu „nieagresywnego Izraela”, który zapewnia sobie wsparcie, uzależniając inne kraje od własnych technologii zbrojeniowych.

Pomysłów na „uzależnianie” od siebie świata Ukraińcy mają coraz więcej. Wiosną udostępnili sojusznikom dane z pola walki, umożliwiając im trenowanie oprogramowania AI wykorzystywanego w systemach dronowych. Dla firm rozwijających systemy autonomiczne czy narzędzia do rozpoznawania celów ma to oczywistą wartość: zweryfikowane, rzeczywiste dane skracają proces rozwoju i poprawiają skuteczność modeli w sposób trudny do powtórzenia w warunkach laboratoryjnych. – Jeśli chcesz rozwijać technologię AI, potrzebujesz danych. Bez nich nie da się stworzyć żadnego rozwiązania, które będzie realnie użyteczne. A Ukraina ma największe na świecie centrum danych o wojnie – reklamuje swój kraj Danylo Tsvok, szef rządowej agencji AI, która zajmuje się opracowywaniem rozwiązań obronnych opierających się na sztucznej inteligencji.

Strategia zaczyna przynosić efekty. Nawet Pentagon jest zainteresowany pozyskaniem ukraińskich systemów naprowadzania końcowego, które umożliwiają dronom autonomicznie trafiać w cele po utracie łączności z operatorem, a także systemów nawigacyjnych działających w środowiskach bez sygnału GPS.

W Kijowie słychać, że dowódcy Pentagonu powoli dostrzegają, że USA pozostają w tyle w kluczowych obszarach współczesnej wojny dronowej oraz związanej z nią rewolucji kosztowej, która pozwala osiągać efekty bojowe przy du-

żo niższych nakładach. Nie chodzi tylko o bezzałogowe statki powietrzne, lecz także o cały ekosystem powiązanych technologii: automatyzację, systemy walki elektronicznej i przeciwdziałania zagłuszaniu, rozpoznawanie powietrzne, morskie drony, naziemne roboty bojowe... – Wojna na Bliskim Wschodzie i wykorzystanie Szahedów pokazały, że nawet wysoko rozwinięte, a być może najpotężniejsze państwa świata mają problemy z ochroną swojego terytorium w tym aspekcie – podkreśla Tsvok. – Dlatego naszym priorytetem jest rozwijać systemy AI, które dadzą nam przewagę – dodaje.

Realna zmiana podejścia

Trudno przewidzieć, czy zainteresowanie świata technologią przełoży się na położenie dyplomatyczne Kijowa. W tym tygodniu Zełenski i jego sojusznicy zebrali się na szczycie G7 we francuskim Évian z nadzieją przekonania Trumpa, że ukraińska kontrofensywa przynosi rezultaty. Amerykański przywódca nazwał niedawno Rosję stroną „ofensywną”, przyznając, że ponosi ona większe straty niż Ukraina. Prezydent Emmanuel Macron stwierdził, że Trump wykazał „realną zmianę podejścia” do wojny w Ukrainie. Podobne opinie wyrazili inni europejscy przywódcy. Poprzedni szczyt G7 w Kanadzie zakończył się bez wspólnego stanowiska w sprawie konfliktu. Tym razem przywódcy nie tylko wydali wspólne oświadczenie, lecz także zobowiązali się do „zwiększenia dostaw środków obrony powietrznej, dodatkowych systemów i pocisków przechwytyjących oraz zdolności dalekiego zasięgu” dla Kijowa. Amerykański prezydent zasugerował nawet, że Waszyngton może znowu wprowadzić sankcje na rosyjską ropę, aby wyrzucić presję na Kreml (zawieszono je, aby obniżyć globalne ceny energii, które gwałtownie wzrosły w wyniku wojny z Iranem).

Dobra passa Ukrainy może nie trwać wiecznie. Po pierwsze, Trump uchodzi za polityka nieprzewidywalnego. W drugiej kadencji wielokrotnie zmienił stanowisko. Po drugie, cykl rozwoju technologii wojskowych liczy się dziś w miesiącach, a nie w latach. – Gdy kupujesz tradycyjne uzbrojenie, ma ono służyć przez 20, 30, nawet 40 lat. Z dronami jest inaczej. Wojna zmienia się zbyt szybko. To, z czego teraz korzystamy, za dwa lata będzie przestarzałe – mówi Fedoryszyn. Opowiada, jak jedna z brygad dostała wyprodukowane pół roku wcześniej drony FPV – mimo to konieczne było wprowadzenie modyfikacji, bo w warunkach frontowych nie nadawały się do skutecznego użycia. W miarę jak międzynarodowe firmy zbrojeniowe nadrabiają zaległości, wartość danych i doświadczeń Ukraińców z pola walki może maleć. Ich autonomiczne drony przechwytyjące doczekały się już konkurencji ze strony europejskich firm, takich jak niemiecki Tytan czy estoński Frankenburg.

©©



Więcej tekstów tej autorki
Skanuj kod!
DGP.pl

REKLAMA

LANCÔME

La vie est belle

Join the Refill Movement



KÉRASTASE

PARIS

Join the Refill Movement



LA ROCHE-POSAY

LABORATOIRE DERMATOLOGIQUE

Join the Refill Movement



L'ORÉAL

PARIS

Join the Refill Movement



L'ORÉAL
GROUPE

Poznaj nasze produkty w wersji refill



Świat

Zawiedzeni zawodami przyszłości

Dzisiejsi absolwenci mierzą się z paradoksem. Słyszą z jednej strony, że modele językowe zmiotą miliony miejsc pracy, z drugiej – że muszą się nauczyć korzystać z AI, jeśli nie chcą zostać w tyle

Emilia

Świętochowska

Przemówienia z okazji wręczenia dyplomów to sezonowy rytuał na amerykańskich uczelniach. Luminarze biznesu, polityki i popkultury próbują porwać młodych ludzi wizją świata nieograniczonych możliwości, ofiarowując im przypowieści o wytrwałości, burzeniu schematów i podnoszeniu się po porażkach skrojone z wygładzonych wersji własnych biografii. Kiedyś Steve Jobs namawiał ich, by nie marnowali życia na podążanie za cudzymi opiniami i dogmatami, Taylor Swift zachęcała do oswojenia śmieśności (cringe'u), a Oprah Winfrey uświadamiała, że potknięcia nie są dowodem słabości, lecz sygnałem, że trzeba skorygować kurs. W tym roku na kampusach w całych Stanach Zjednoczonych słychać było buczenia i gwizdy wyrażające narastające obawy o wartość wyższego wykształcenia w czasach, w których duże modele językowe coraz bardziej rozpychają się na rynku pracy.

Koniec z entuzjazmem

Zacząło się w połowie maja na Uniwersytecie Centralnej Florydy. Znana menedżerka z branży nieruchomości Gloria Caulfield z ekscytacją oznajmiła absolwentom, że „rozwój sztucznej inteligencji to kolejna rewolucja przemysłowa”. Bezlitosne buczenie na widowni

wyraźnie zbiło ją z tropu. Z podobną reakcją spotkał się na Uniwersytecie Arizony były prezes Google'a Eric Schmidt, gdy przekonywał, że AI wywoła większy przełom niż ten, który cztery dekady temu przyniosły komputery.

Na Middle Tennessee State University gwizdy zakłóciły wystąpienie Scotta Borchetty, szefa wytwórni płytowej Big Machine, który zachwycił się tym, jak sztuczna inteligencja zmienia proces tworzenia muzyki. – Pogódźcie się z tym – rugał zagłuszającą go młodzież. – To, czego nauczyliście się na pierwszym roku studiów, może już być przestarzałe – dodał.

Trudno się dziwić tym reakcjom. Pierwsze roczniki rozpoczynające drogę zawodową w dobie gorączkowego wdrażania AI i zalewu internetu słołem mierzą się z uporczywym paradoksem. Słyszą z jednej strony, że modele językowe zmiotą miliony miejsc pracy, z drugiej – że muszą nauczyć się korzystać z AI, jeśli nie chcą zostać w tyle i przegapić pociągu do „zawodów przyszłości”. Ich frustrację dobrze ilustrują badania Galupa. Osoby z pokolenia Z, które jeszcze całkiem niedawno uchodziły za zapalnych amatorów sztucznej inteligencji, są coraz bardziej rozgoryczone jej wpływem na ich życie. Prawie jedna trzecia młodych Amerykanów twierdzi, że AI budzi w nich złość. Rok wcześniej było to 22 proc. Czterech na dziesięciu przyznaje, że z niepokojem obserwuje kierunek rozwoju tej technologii. Już tylko

u 22 proc. zetek wzbudza ona ekscytację, co oznacza spadek o 14 pkt proc.

Narastający sceptycyzm w dużej mierze napędzają obawy, że sztuczna inteligencja prowadzi do intelektualnej atrofii i zaniku kompetencji społecznych. Osiem na dziesięć osób w wieku 18–28 lat jest zdania, że AI sprzyja lenistwu, a dwie trzecie badanych martwi się, że zdawanie się na chatboty w zadaniach wymagających wysiłku umysłowego pozbawia ich szansy na rozwijanie kompetencji i osłabia zdolność do krytycznej refleksji. „Sztuczna inteligencja promuje natychmiastową gratyfikację, a nie rzeczywiste zrozumienie” – powiedział jeden z respondentów.

Prawie połowa zatrudnionych zetek uważa, że ryzyko związane z używaniem tej technologii do pracy przewyższa korzyści (wzrost: 11 pkt proc.). Ich stosunek do AI jest jednak zabarwiony ambiwalencją. Wielu młodych Amerykanów się do niej zraziło, ale nie na tyle, by przestać z niej korzystać. Ponad połowa deklaruje, że rozmawia z chatbotami przynajmniej raz w tygodniu. Większość przyznaje też, że narzędzia te pomagają im szybciej uporać się z obowiązkami służbowymi.

Potem się zobaczy

Przekonanie, że każdego, kto nie wskoczy na falę AI, czeka lawirowanie między nisko płatnymi fuchami, podsyca

ją nie tylko elity Doliny Krzemowej, lecz także same uczelnie. Amerykańscy rektorzy wydają dziś miliony dolarów na dostęp do platform opartych na LLM-ach. Uniwersytet Stanu Kalifornia, największy w kraju system uczelni publicznych (460 tys. studentów i 63 tys. pracowników na 23 kampusach), w 2025 r. podpisał z OpenAI umowę na zakup 0,5 mln licencji na ChatGPT Edu. Roczny rachunek opiewa na blisko 17 mln dol. Kontrakt, reklamowany jako wehikuł do budowy kadry na miarę algorytmicznej gospodarki, wywołał ferment w społeczności akademickiej. Na skutek cięć budżetowych uniwersytet stracił w tym roku 144 mln dol., przez co wiele jednostek, które już wcześniej musiały szukać oszczędności, redukując zatrudnienie i likwidując kursy, musiało jeszcze mocniej zacisnąć pasa.

Podobną współpracę, choć na mniejszą skalę, nawiązały z firmami technologicznymi również inne uczelnie. W grudniu zeszłego roku Bloomberg podało, że w samych Stanach Zjednoczonych OpenAI sprzedało ponad 700 tys. licencji na ChatGPT Edu 35 publicznym uniwersytetom, umacniając się na pozycji niekwestionowanego lidera rynku edukacyjnego. Rzeczywista liczba takich umów jest z pewnością dużo wyższa, bo prywatne instytucje nie mają obowiązku ujawniać swoich zakupów, a w „innovacyjne” produkty inwestują jeszcze większe pieniądze.





FOT. JASON ARMOND/LOS ANGELES TIMES VIA GETTY IMAGES

Ceremonia rozdania dyplomów
na Uniwersytecie Południowej
Kalifornii w Los Angeles.
15 maja 2026 r.

Początkowo władze uczelniane podchodziły do narzędzi AI z podejrzliwością. Gdy wykładowców zaczęły zalewać prace w szablonowym, mechanicznym stylu, których język nie zdradza śladów osobowości, niektóre uniwersytety wprowadzały oficjalne zakazy używania chatbotów. Szybko stało się jednak jasne, że restrykcje nie działają, więc zamiast podtrzymywać fikcję, otworzyły się na nowe narzędzia, licząc, że zasady i sposoby ich wykorzystywania wyłonią się metodą improwizacji. Chociaż nadal brakuje wymiernych dowodów na to, czy i jaką wartość dodaną wnoszą do edukacji sztuczna inteligencja, wygrało popularnie w branży technologicznej podejście „najpierw wdrażamy, potem szukamy zastosowania”. Zwłaszcza że liderzy spółek AI nieustannie pompowali narrację, że przed upływem dekady modele językowe wymażą połowę stanowisk biurowych niskiego szczebla. Jeśli potraktować to jako element kampanii marketingowej, to się udało. Przyciągnęli wielu lojalnych klientów. Uczelnie uznały, że przylączając się do rewolucji, zapewnią swoim studentom przewagę na starcie. Wykładowcy, namawiani do zaprzęgnięcia LLM-ów do nauki, na siłę dorabiali „kreatywne” zastosowania, odpychając od siebie myśl, że sami budują dla siebie skansen.

Ostatnie dwa lata to także boom na kierunki AI. Dziekani się zarzekają, że nie są to szkolenia z tworzenia promptów w akademickim opakowa-

niu, lecz interdyscyplinarne programy obejmujące m.in. zajęcia z modelowania z użyciem uczenia maszynowego, bioinformatyki, robotycznej manipulacji czy etyki komputerowej. Przynajmniej w części przypadków kierunki te w praktyce niewiele się jednak różnią od studiów informatycznych.

Wrażliwość na AI

Badania Gallupa odsłaniają nowy problem: absolwenci college'ów i uniwersytetów znacznie gorzej oceniają dziś swoje perspektywy zawodowe niż osoby bez dyplomu. Jeszcze do 2024 r. było odwrotnie. Zaledwie 19 proc. Amerykanów z wyższym wykształceniem uważa dziś, że to dobry moment na znalezienie atrakcyjnej pracy. Cztery lata temu taką opinię wyrażało ponad 70 proc.

Najbardziej ponure nastroje panują w pokoleniu Z i nie tłumaczą ich tylko złowieszcze prognozy automatyzacji. Jak wynika z analizy Banku Rezerwy Federalnej w Nowym Jorku, stopa bezrobocia wśród 22-27-latków, którzy niedawno opuścili kampusy, sięgnęła

w I kw. 2026 r. 5,7 proc. – wyraźnie powyżej wskaźnika dla ogółu pracowników (4,3 proc.). Prawie połowa zetek z wyższym wykształceniem jest zatrudniona na stanowiskach niewymagających dyplomu.

Mimo niskiego bezrobocia i wiosennej lawiny ofert pracy firmy zachowują się nietypowo: rekrutują mało nowych osób i nie przeprowadzają zbyt wielu zwolnień. Ekonomiści opisują taką sytuację gospodarczą jako „low-hire, low-fire”. Tempo zatrudnienia – odsetek nowych pracowników w całej sile roboczej – od miesięcy nie przebija 3,5 proc., a więc pozostaje bliżej poziomu spowolnienia po kryzysie 2008 r. niż okresów ożywienia. Modele językowe na razie nie pustoszą rynku pracy, ale branże, które inwestują w nie najwięcej, takie jak technologie i finanse, odchudzają swoje załogi. Microsoft w ubiegłym roku pozbył się 15 tys. osób, zaś Amazon od jesieni skasował na całym świecie 30 tys. etatów. Meta odprowadziła w maju 8 tys. pracowników (10 proc. personelu), a PayPal ogłosił likwidację 5 tys. stanowisk (20 proc.). Zwolnienia przeprowadziły też m.in. Oracle, Pinterest, Block i Atlasian. W każdym przypadku decyzję uzasadniano poprawą efektywności dzięki sztucznej inteligencji.

Niektórzy twierdzą, że to zapowiedź masowego wycinania białych kołnierzyków, lecz jest zbyt wcześnie na katagoryczne diagnozy. Wczesne badania wpływu AI prowadzą do sprzecznych wniosków. Katastroficzne przewidywania uwiarygodnia analiza ekonomistów z Uniwersytetu Stanforda Erika Brynjolfssona, Bharata Chandara i Ruyu Chena, którzy wykazali, że w zajęciach podatnych na automatyzację (takich jak obsługa klienta i rozwój oprogramowania) zatrudnienie 20-parolatków było o 16 proc. niższe niż w zawodach odporniejszych na sztuczną inteligencję. Według ich danych stanowiska juniorskie zaczęły wyparowywać krótko po premierze ChatGPT w listopadzie 2022 r. Rekrutacja na wyższe stanowiska dalej jednak kwitła. W branżach szybko adaptujących nową technologię zatrudnienie młodych pracowników zmalało o 6 proc., a bardziej doświadczonych wzrosło o 6-9 proc.

Inny obraz kreślą ekonomiści z Google'a Zanna Iscenko i Fabien Curto Millet. Ich badanie wykazało, że w branżach wrażliwych na AI zmalała liczba ofert zarówno dla osób rozpoczynających karierę, jak i tych z długim stażem, a trend ten wiąże się bardziej z rosnącymi stopami procentowymi i pogorszeniem warunków makroekonomicznych niż upowszechnieniem modeli językowych.

„Najważniejsze pytania dotyczące wpływu AI na rynek pracy nadal pozostają bez odpowiedzi” – podsumowuje Jed Kolko z Peterson Institute for International Economics. Jednym z powodów jest to, że LLM-y i ich zastosowania zmieniają się w zawrotnym tempie – modele są dziś dużo bardziej zaawansowane niż rok temu i wchodzą w coraz to nowe obszary, więc nawet najbardziej rzetelne wyniki mogą się szybko dezaktualizować. Badacze nie zdążyli jeszcze wypracować wystandaryzowanych definicji zawodów wrażliwych na AI ani uzgodnić, jak mierzyć jej efekty. Co wię-

cej, Kolko podkreśla, że interpretowanie sygnałów z rynku pracy wyłącznie przez pryzmat sztucznej inteligencji jest problematyczne, bo na rotację w danej branży mogą wpływać inne czynniki, m.in. nadmierne zatrudnianie w czasie pandemii, wojna celna czy zależność od imigrantów. Ostatnie zwolnienia w big techu to w dużej mierze korekta kursu po wyścigu o talenty w latach 2021-2022, kiedy wiele spółek rekrutowało na potęgę, podnosiło wynagrodzenia i oferowało możliwość pracy z domu. „CEO może łatwiej obwiniać AI za zamrożenie naboru lub cięcia, niż przyznać, że firma zatrudniła zbyt wielu ludzi” – kwituje Kolko.

Jest też inne wyjaśnienie, dlaczego tak wiele zetek z dyplomami grzęźnie u progu kariery: praca zdalna. Ekonomiści z Rezerwy Federalnej w Nowym Jorku stawiają tezę, że w zawodach niewymagających obecności na miejscu menedżerowie rzadziej przyjmują do zespołów młode osoby, bo trudniej jest je wyszkolić i nadzorować na odległość. Na dodatek mogą być one mniej produktywne, nawet gdy nabiorą doświadczenia.

Oplaca się studiować?

Bolączki dzisiejszych absolwentów są o tyle niepokojące, że ukończenie studiów w czasie rekrutacyjnego spowolnienia negatywnie odbija się na całej drodze zawodowej. Lina Khan, profesor prawa na Columbia University i była szefowa Federalnej Komisji Handlu, odkryła, że kandydaci rozpoczynający karierę w niesprzyjających warunkach zarabiają mniej niż ci, którzy mają szczęście trafić na dobrą koniunkturę. Choć z czasem luka się kurczy, to utrzymuje się jeszcze po 15 latach. Niższe wynagrodzenie wynika w dużej mierze z tego, że gdy gospodarka wyhamowuje, pracodawcy ograniczają zatrudnienie. Uruchamia się spirala: młodzi ludzie grzęzną na stanowiskach poniżej swoich kwalifikacji, a doświadczenie baristy w Starbucksie nie ułatwia starań o stanowisko dopasowane do wykształcenia. Ekonomiści zauważyli, że osoby z trudnym startem zawodowym w średnim wieku częściej się rozwodzą i prowadzą niezdrowy styl życia, który naraża je na wyższe ryzyko przedwczesnej śmierci.

Sztuczna inteligencja ożywiła powracającą w momentach niepewności dyskusję o tym, czy dyplom uczelni jest wciąż opłacalną inwestycją. Wyższe wykształcenie staje się w Stanach Zjednoczonych coraz bardziej dobrem luksusowym – w ostatnich 50 latach rachunek za studia wyrzucił ponad trzykrotnie (po uwzględnieniu inflacji). Szybujące koszty robią szczególne wrażenie, gdy zestawia się je z domowymi budżetami: w 1974 r. czesne za czteroletnie studia na publicznym college'u stanowiło ok. 9 proc. mediany dochodu (11,1 tys. dol.), w 2024 r. – już ponad jedną trzecią (83,7 tys. dol.). W nadchodzącym roku akademickim po raz pierwszy w historii opłaty na kilkunastu elitarnych uczelniach przebijają barierę 100 tys. dol. Na liście znajdują się m.in. New York University, Duke University i Georgetown University. ©

Zwijanie wielkiej wizji Domu Saudów

Porozumienie między Waszyngtonem a Teheranem i odblokowanie cieśniny Ormuz wywołało westchnienie ulgi nad całą Zatoką Perską. Ale finansowe blizny długo jeszcze nie znikną, a dla Arabii Saudyjskiej mogą one oznaczać ostateczny koniec marzeń o modernizacji

Mariusz

Janik

„Saudyjska Rada Ministrów z zadowoleniem przyjęła we wtorek porozumienie osiągnięte między Stanami Zjednoczonymi a Iranem, mające na celu zakończenie operacji wojskowych i podjęcie bardziej szczegółowych negocjacji, zmierzających do wypracowania stałego porozumienia” – relacjonuje, bardziej w tonie „komunikatu z prac rządu” niż artykułu, „Saudi Gazette”. „Rada wyraziła nadzieję, że pokój zostanie osiągnięty w sposób wzmacniający regionalne i globalne bezpieczeństwo, przy uwzględnieniu interesów krajów regionu i poszanowaniu ich wewnętrznych spraw” – dorzucili ministrowie i złożyli podziękowania Allahowi za obdarzenie królestwa honorem opieki nad świętymi meczetami oraz spokojny przebieg hadżdżu – pielgrzymki do Mekki – w którym od początku roku wzięło już udział 1,7 mln ludzi.

W tekście jest też passus poświęcony gospodarce. „Gabinet z zadowoleniem przyjął oświadczenie ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego (...), w którym potwierdzono siłę i odporność saudyjskiej gospodarki w obliczu wyda-

rzeń w regionie. Oświadczenie podkreśla silne fundamenty gospodarcze, zdywersyfikowaną infrastrukturę logiczną przemysłu naftowego oraz kontynuację reform w ramach programu Saudi Vision 2030” – podkreśla gazeta, dorzucając, że w 2025 r. Narodowy Program Transformacji (część owej Wizji 2030) „osiągnął 71 proc. założonych celów”.

O ile jednak statystyki wydają się dowodzić nieustających sukcesów, o tyle analitycy uważają Wizję 2030 za fiasco – przynajmniej w porównaniu z szumnymi zapowiedziami. „Wojna w Iranie przyciągnęła uwagę do kluczowych wyzwań polityki gospodarczej, przed jakimi stoi Arabia Saudyjska, obchodząca właśnie 10. rocznicę ogłoszenia Wizji 2030 w kwietniu 2016 r. i zarazem ponownie definiująca kluczowe cele i priorytety polityczne tego programu. Ten proces zaczął się przed wojną w Iranie (i jest od niej niezależny), a jest częścią realokacji rządowych wydatków odbieranych megainwestycjom, jak futurystyczne miasto The Line i kurort Trojena w megaaglomeracji Neom czy apartamentowca Mukaab

(nazywanego też The Cube – „szczęściem” – red.) w Rijadzie” – pisze Kristian Coates Ulrichsen, ekspert ośrodka Arab Center Washington DC, w analizie opublikowanej pod koniec maja. Bardziej lapidarnie ujęła to Ellen R. Wald, szefowa firmy konsultingowej obsługującej branżę energetyczną Transversal Consulting oraz autorka książki „Saudi Inc. The Arabian Kingdoms Pursuit of Profit And Power”, w rozmowie z dziennikarzem BBC. – Już to widzieliśmy – stwierdziła. – Najpierw z hukiem coś ogłasza, jest bardzo spektakularnie, a potem to nie zostaje wybudowane albo zostaje wybudowane w znacznie mniejszej skali, albo „nie tak, jak miało być” – skwitowała cierpko.

Podobnie można by opisać trajektorię kariery samego księcia Mohammeda Bin Salmana, następcy tronu, który za Wizją 2030 stoi.

Trajektoria wzlotów i upadków

Ponad dekadę temu – w 2015 r. – Dom Saudów uświadomił sobie, że dotychczasowy system sukcesji skazuje królestwo na wieczne rządy starców. Tron przechodził między synami założyciela królestwa,

Wizualizacja gigantycznego wieżowca Mukaab w Rijadzie. Kontrakt na budowę został oficjalnie zawieszony



FOT. NEW MURABBA/FERRARI PRESS/EAST NEWS

ARABIA SAUDYJSKA

Abdulaziza, zgodnie z zasadą starszeństwa. Tamtego pamiętnego roku uznano, że trzeba przeskoczyć kilku z nich i następcą tronu 90-letniego dziś króla Salmana uczynić najmłodszego z jego przyrodnych braci, Mukrina. Ta kandydatura nie wytrzymała nawet kwartału, gdy oficjalnym następcą został wnuk Abdulaziza – książę Muhammad ibn Najef. Tyle że po pół roku z okładem MBN (akronimy w odniesieniu do kolejnych przedstawicieli dynastii to ogólnie przyjęty standard) został ze stanowiska następcy zdjęty. W trakcie ledwie 24-sekundowej telewizyjnej migawki pokazano transfer władzy do rąk o dwie dekady młodszego Muhammada Bin Salmana, syna obecnego władcy.

– Przytłaczająca większość Saudyjczyków nie ma jeszcze 35 lat i dla nich MBS jest młody, dynamiczny i gotowy na stawianie czoła wyzwaniom – tłumaczyła mieszkającą w Londynie saudyjska reporterka Najah Alotaibi. – To zderzenie politycznej przeszłości z polityczną przyszłością. I bez wątpienia król Salman również zobaczył to w taki sposób. MBS może rządzić nawet 50 lat, zwłaszcza jako modernizator – dodawała.

I tak też chciano księcia pozycjonować. Jego debiut na światowych salonach miał charakter tournée przez Egipt, Francję i Wielką Brytanię aż do USA. Objazdowi MBS i jego liczącej 0,5 tys. osób świcie towarzyszyły rajdy przez wystawne przyjęcia miejscowych elit, krążące po ulicach furgonetki ze sloganami typu „ten, który przynosi zmianę Arabii Saudyjskiej” lub „on wzmacnia pozycję kobiet”. Gdzieś po drodze były przystanki na fotkę z królową Elżbietą II, Billem Gatesem i Billem Clintonem, a w końcu – z Donaldem Trumpem i jego zięciem Jaredem Kushnerem. A także nieformalne spotkanie z liderami środowisk żydowskich w Ameryce, którego prawdopodobnym efektem miała być równie dyskretna schadzka z Binjaminem Netanjahu w Ammanie, w Jordanii.

Ale już wtedy euforii zaczynały towarzyszyć wątpliwości. Pojawiały się zatem plotki o księciu, o jego arogancji, niekompetencji, żądzy władzy. Aktywistki działające na rzecz praw kobiet i blogerzy krytykujący monarchię zaczęli łądować w aresztach i więzieniach. To MBS przypisuje się doprowadzenie do saudyjskiej interwencji w Jemenie, która nie tylko okazała się militarną porażką, lecz także zapoczątkowała katastrofę humanitarną w tym kraju. Zanim MBN oddał funkcję następcy tronu MBS, miał być przez te kilka miesięcy trzymany w czymś na kształt aresztu domowego. I mógł dziękować opatrności, że na tym się skończyło, bo w 2017 r. MBS zgromadził w ciągu jednej nocy w hotelu Ritz-Carlton w Rijadzie być może nawet kilkuset dygnitarzy – od członków Domu Saudów przez urzędników rządowych i biznesmenów po wojskowych – i przez kilka tygodni jego ludzie wymuszali od nich brutalnymi metodami przyznanie się do korupcji i oświadczenia o zerzeniu się majątku (czy przynajmniej jego lwiej części) na rzecz państwa. Aurę gwiazdy MBS stracił ostatecznie, gdy agenci jego służb bezpieczeństwa zamordowali w konsulacie w Istambule Dżamala Chaszukdziego – saudyjskiego dziennikarza przez wiele lat bez ogródek komentującego sytuację w ojczyźnie.

Wzlot i upadek MBS potrwał zaledwie niespełna trzy lata. O ile można mówić o upadku, bo uściski dłoni z przywódcami z Paryża i Londynu zastąpiły „niedźwiadki” z Putinem. Niewiele też trzeba było czasu, by pomstujący zrazu na zamordowanie amerykańskiego obywatela (Chaszukdzi przeprowadził się kilka lat przed śmiercią do USA) Trump zamilkł, a określający się mianem „przyjaciela” dziennikarza Recep Tayyip Erdoğan wyładował w Rijadzie, gdzie ubiegał się o dobre warunki kontraktów dla Turcji. Bardziej smutnym niż śmieszny przypisem jest tu „żółwik” Joego Bidena, którym amerykański prezydent próbował ominąć konieczność uściśnięcia ręki księcia.

Historia widziała już jednak niejednego przywódcę, który twardą ręką rozprawił się ze swoimi adwersarzami, a świat zapamiętał go przede wszystkim jako modernizatora, który trwale odmienił swój kraj i przygotował go na wyzwania współczesności. Takim pomnikiem chwały księcia miała być Wizja 2030.

Megainwestycje i megabudynki

Miała to być przede wszystkim mapa drogowa do szybkiej dywersyfikacji źródeł dochodów królestwa. Wstępnie zakładano, że do 2020 r. spoza sektora naftowego będzie pochodzić 160 mld dol. wpływów rocznie, a do 2030 r. – ponad 700 mld dol. I być może do pierwszego z tych celów nawet się zbliżono, gdyż – jak podsumowano w raporcie dotyczącym kampanii antykorupcyjnej z lat 2017–2019, której częścią były „internowania” w rijadzkiej Ritz-Carltonie, od rzeczywistych i wyimaginowanych łapówkarzy „odzyskano” dla państwa 107 mld dol.

Wizytówką programu stały się jednak megaprojekty, którymi regularnie zarzucano Saudyjczyków i resztę świata przez dobrych kilkanaście miesięcy u progu władzy MBS (bo mało kto wierzył, że sędziwy Salman sprawuje rzeczywiste rządy). Za symbol zmian można by uznać projekt megaaglomeracji Neom nad Morzem Czerwonym, blisko granicy z Jordanią oraz Egiptu i Izraela. O iro, ogłoszony w sali konferencyjnej hotelu Ritz-Carlton ledwie półtora tygodnia przed tym, jak do hotelu zaczęto zwozić pierwszych aresztowanych dygnitarzy.

Pod tę inwestycję zaplanowano wyrywanie pustyni (i prowincji Tabuk) około 26,5 tys. km kw., na których miały powstać kolejne elementy swego rodzaju subregionu Arabii Saudyjskiej – od rozbudowanego węzła logistyki i handlu przez pływający po morzu kompleks przemysłowy, kurorty turystyczne – ze wspomnianą Trojeną, która miała być saudyjskim centrum sportów zimowych (śnieg rzeczywiście się tam zimą pojawia, choć na krótko i na niewielkim obszarze). I jeszcze The Line – ciągnące się przez niemal 170 km, za to szerokie zaledwie na kilkaset metrów „miasto linearne” nowego typu, zasilane wyłącznie odnawialnymi źródłami energii, z robotami w rolach służb miejskich i bezpieczeństwa oraz, jak sugerowano, mieszkańcami wywodzącymi się ze światowych elit.

Gigantomania miała swoją cenę oszacowaną w chwili ogłaszania pro-

jektów z programu na, bagatela, 1,6 bln dol. Z czasem kosztorys puchł, sięgając finalnie 8,8 bln dol., po czym oficjalnie ogłoszono, że wydatki z tego tytułu zostaną zredukowane do... 0,5 bln dol. W chwili, gdy się to stało, było już wiadomo, że Neom jest projektem żyjącym wyłącznie na papierze – części kontraktów w ciągu ubiegłej dekady nie zawarto w ogóle, inne zredukowano w ostatnich kilku latach, a niedawno zaczęto je wręcz anulować, co dotyczy choćby wspomnianego kurortu, który miał gościć Azjatyckie Igrzyska Zimowe w 2029 r. Organizację imprezy, bez nadawania sprawie większego rozgłosu, oddano Kazachstanowi.

Podobny los spotkał inną megainwestycję – dystrykt Nowa Murabba na przedmieściach Rijadu. Ową dzielnicę na rubieżach stolicy początkowo „opowiadano” jako wielki kompleks rozrywkowy, w którym parkom rozrywki towarzyszyłyby placówki kulturalne (wraz z nadejściem rządów MBS po wielu latach otwierano w królestwie kina) i muzealne, potem projekt nabrał bardziej biznesowo-przemysłowego charakteru. Jego sercem jednak niezmiennie był „szescian” – The Cube, po arabsku Mukaab. Jako żywo przypominał Al-Kaabę, kamienną konstrukcję w centrum najważniejszego meczetu w świecie islamu, Al Masdzid Al Haram w Mekce, którą tradycyjnie okrążają pielgrzymki podczas hadżdżu. Nie przysporzyło to popularności inwestycji, ale władze królestwa długo przy niej trwały. Może ze względu na imponujące gabaryty, po 400 m w każdą stronę, co oznacza, że można by nią nakryć 20 stojących obok siebie budynków o gabarytach Empire State Building. Pod względem kubatury byłby to największy budynek na świecie. Tyle że Saudyjczycy już nawet nie udają, że go budują – kontrakt na budowę został oficjalnie zawieszony.

Na tapecie wciąż jest Jeddah Tower w Dżuddzie – pierwszy na świecie budynek, którego wysokość ma być większa niż 1 km. A na wypadek, gdyby coś nie wypaliło (budowa Jeddah Tower była już kilkakrotnie zawieszana), w bliższym sercu rządzących w Rijadzie fantazjuje się o wieżowcu... dwukilometrowym. A gdyby i z tego wyszły nici, na otarcie łez można przypomnieć o lesie drapaczy chmur, który wyrósł w Mekce w ciągu ostatnich dwóch dekad, jeszcze przed czasami Wizji 2030 – na czele z Wieżami Zegara (Abradž as-Saat), hotelem o przeszło 600 m wysokości. Być może zresztą to ten olbrzym był inspiracją innych megaprojektów. Pod jego budowę zrównano z ziemią wzgórze, z którego kiedyś można było popatrzeć na całe miasto, a w szczególności na Al Masdzid Al Haram u jego stóp. Dziś można na mułmańskie sanktuarium spojrzeć z hotelowych pokoi – budynek stoi w odległości 300 m od meczetu, zegar u szczytu najwyższej z jego wież jest dla pielgrzymów punktem odniesienia, a jej cień pada na dziedziniec świątyni. Co zresztą też nie wszystkim musi się podobać.

Dyskretnie zwijanie planów

„Nikt, kogo bym znał, nie wierzył, że cele nakreślone w Wizji 2030 i Narodowym Planie Transformacji można

rzeczywiście osiągnąć, co nie znaczy, że nie warto próbować” – tak w swoim czasie komentował ogłaszane przez Rijad plany Thomas Lippman, wieloletni ekspert waszyngtońskiego Middle East Institute i niedysiejszy szef biura „The Washington Post” na Bliskim Wschodzie. „Poprzedni system był sklerotyczny, a zasadnicze decyzje najczęściej odkładano” – przypominał.

Nowy system potwierdził, że nie odbiega zaledwie od poprzedniego. Co nie znaczy, że było mu łatwo. Kilka ostatnich lat było czasem stosunkowo niskich cen ropy, co nie ułatwiało planowania budżetów rozbuchanych inwestycji. Ceny wystrzeliły w końcu wraz z izraelsko-amerykańskimi bombardowaniami Iranu, Saudi Aramco raportowało po I kw. 25-procentowy wzrost zysków, ale dla Domu Saudów była to niewielka pociecha z uwagi na strach inwestorów, regularne przeloty irańskich dronów i rychłe odcięcie cieśniny Ormuz, a więc najważniejszego kanału eksportu surowca. Nagle skoczyły bowiem koszty funkcjonowania przemysłu naftowego, zwłaszcza po stronie logistyki i bezpieczeństwa infrastruktury, co skądinąd mogłoby utwierdzać twórców Wizji 2030 w słuszności założeń związanych z dywersyfikacją. Tyle że nic po słuszności, gdy w skarbcu widać dno.

„W porównaniu do swoich sąsiadów z Zatoki Perskiej Arabia Saudyjska jest w stosunkowo dobrej sytuacji” – zauważa jednak Ulrichsen. Kuwejt, Katar i Emiraty zostały odcięte od możliwości eksportu surowców, Saudowie mieli prowadzący na wybrzeże Morza Czerwonego rurociąg pozwalający utrzymać eksport na poziomie 60–70 proc. tego sprzed ataku na Iran. W sytuacji, gdyby kryzys w Zatoce miał się przeciągnąć na lata, infrastrukturę można było stosunkowo szybko rozbudować. Rozległość królestwa pozwalała wciąż utrzymać zainteresowanie turystów i biznesu. „W czasie, gdy anulowano loty do innych państw Zatoki, w Dżuddzie (położonej na wybrzeżu Morza Czerwonego – red.) zgromadziło się blisko 60 tys. fanów futbolu na finał Asian Champions Football League” – punktuje ekspert.

W tym samym czasie Wizja 2030 praktycznie zniknęła z widoku. Już w dokumentach budżetowych na 2026 r. praktycznie nie ma do niej nawiązań, nie mówiąc o pieniądzach na wchodzące w jej skład inwestycje. Oznacza to, że to nie konflikt z Iranem odegrał tu największą rolę. „Choć ponowne przemyślenie implementacji strategii inwestycyjnej Wizji 2030 nastąpiło przed wybuchem wojny, to przyspieszyło ono w jej wyniku” – podkreśla ekspert Arab Center Washington DC. Następcy tronu nie udało się zostać reformatorem, a teraz maleją jego szanse na przejście do historii jako modernizator. Pozostaje trzymać królestwo naprawdę twardą ręką. ©©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

Ostatni syjoniści

Krytykowanie działań Izraela, a nawet twierdzenie, że dopuszcza się on ludobójstwa, nie ma nic wspólnego z antysemityzmem. Ma związek z narracją izraelskiego rządu, który od dawna powtarza, że potępienie jego zbrodni jest przestępstwem

Z Omerem

Bartovem

rozmawia Nina Nowakowska

Swoją najnowszą książkę „Izrael. Co poszło nie tak?” zadedykował pan swojemu ojcu Hanochowi Bartovowi. Czy syjonizm pana ojca był tym samym syjonizmem, w który wierzą obecnie izraelscy przywódcy?

Nie – i właśnie dlatego nazywam go ostatnim syjonistą. Mój ojciec zmarł 10 lat temu w wieku 90 lat. Pod koniec życia doszedł do przekonania, że kraj, o który walczył i który pomagał tworzyć – wraz ze stanowiącą jego fundament ideologią – zmienił się tak bardzo, że przestał go rozpoznawać. Sądzę, że to poczucie towarzyszy wielu przedstawicielom pokolenia nie tylko moich rodziców, lecz coraz częściej również mojego. Mój ojciec szczerze nie znosił Netanjahu. Nazywał go „niszczycielem syjonizmu”.

Dlaczego?

Choć wielu ludzi w Izraelu, a także Stanach Zjednoczonych i w Europie uważa się za syjonistów, to współczesny syjonizm ma niewiele wspólnego z ideami, w które wierzył mój ojciec i w których duchu sam zostałem wychowany. Główna różnica polega na tym, że ówczesny syjonizm był w dużej mierze ruchem świeckim, inspirowanym socjalizmem i dążącym do sprawiedliwości społecznej. Wierzył w prawa człowieka, praworządność i pragmatyzm. Jednocześnie był to ruch narodowy, zrzeszający środowiska przekonane o konieczności kompromisu z Palestyńczykami, rdzenną ludnością tej ziemi. Dzisiejszy syjonizm stanowi wręcz wypaczenie tego, czym był kiedyś. Jest głęboko religijny. Co więcej, został zawłaszczony przez specyficzny odłam judaizmu, który nie ma prawie nic wspólnego z religią moich ortodoksyjnych dziadków. Jest mesjanistyczny, oparty na przekonaniu o wyższości Żydów, rasistowski, brutalny, antyliberalny i antydemokratyczny. To właśnie ten odłam judaizmu firmuje dziś syjonizm jako ideologię państwową, która od 7 października przyzwala na ludobójstwo. Nie ma na nią miejsca we współczesnym świecie.

Czy ludobójstwo Palestyńczyków w Strefie Gazy było nieuniknioną konsekwencją projektu syjonistycznego?

Nic w historii nie jest nieuniknione, nie wierzę w determinizm historyczny. Uważam jednak, że syjonizm jako ruch narodowy, a właściwie etnonarodowy, miał wiele cech wspólnych z innymi ruchami etnonarodowymi – w Polsce, Ukrainie, na Litwie, w Rumunii czy na Węgrzech. Każdy z nich miał w sobie znaczny potencjał przemocy. Ruchy te były często wykluczające, a jednocześnie wykazywały ekspansjonistyczne tendencje, chciały włączyć do swojego państwa członków własnej grupy etnicznej mieszkających po „niewłaściwej” stronie granicy. W tym sensie syjonizm był wytworem środkowo- i wschodnioeuropejskiego etnonacjonalizmu. Kluczowe pytanie brzmi: kiedy wiara w praworządność, humanitaryzm, emancypację, równość i obronę praw mniejszości ustąpiła temu, czym syjonizm stał się obecnie?

I jaka jest odpowiedź?

Uważam, że proces ten rozpoczął się w latach 20. i 30. XX w. wraz z żydowskim osadnictwem w Palestynie. Syjonizm zyskał wówczas dwa oblicza. Z jednej strony zapewniał bezpieczne schronienie Żydom, którzy niechciani w swoich krajach pochodzenia, często nie mieli gdzie się podziąć. Z drugiej strony wraz z napływem do Palestyny coraz większej liczby przybyszów narodził się ruch kolonializmu osadniczego, który przejmował ziemię należącą do ludności rdzennej. Kryzys nastąpił w 1948 r. wraz z powstaniem państwa żydowskiego. W tamtym momencie syjonizm osiągnął swój cel. Z mniejszości żyjącej w innych krajach Żydzi stali się większością posiadającą własne państwo. Stanowili ok. 80 proc. jego mieszkańców. Dokonało się to jednak w wyjątkowo brutalny sposób, poprzez czystki etniczne. Nie uchwalono konstytucji, która odzwierciedlałaby deklarowane wartości, ani nie wytyczono jednoznacznie granic kraju. Z biegiem czasu syjonizm zamienił się w ideologię państwową, oddalając się od swoich

humanistycznych i uniwersalistycznych korzeni, takich jak prawa człowieka i praworządność. Stawał się coraz bardziej militarystyczny, scentralizowany, ekspansjonistyczny, nietolerancyjny i brutalny. A po 7 października przeistoczył się w ideologię usprawiedliwiającą ludobójstwo.

Jaka relacja łączy syjonizm i judaizm z żydowskością?

To skomplikowana kwestia. Wielu pierwszych syjonistów wychowało się w religijnych rodzinach, ale z czasem odeszło od judaizmu i tradycji. Duża część z nich była socjalistami i rewolucjonistami. Uważali, że ich misją jest przemiana żydowskiej egzystencji: z luftmenschen, ludzi zajmujących się doraźnymi interesami, takimi jak handel obwoźny czy wymiana pieniędzy, w zakorzenionych w konkretnej przestrzeni rolników uprawiających własną ziemię. Byli antyreligijni, lecz ich wyobrażenie o tym, dlaczego mieliby powrócić do ojczyzny swoich przodków – Erec Israel [Ziemia Izraela – red.] – wywodziło się z Biblii. W syjonizmie zawsze istniało więc pewne napięcie: był to świecki ruch, ale wyrastający z żydowskiej historii, religii i tradycji. Dlatego punktem odniesienia nie były Uganda czy Argentyna. Jedynym miejscem, do którego syjonizm mógł przyciągnąć Żydów, była Erec Israel. W deklaracji proklamującej powstanie państwa Izrael nie użyto słowa „demokracja”, ale idea ta została niejako zasugerowana. Problem polegał na tym, że palestyńscy obywatele, którzy w latach 1948–1967 stanowili 20 proc. ludności kraju, nie otrzymali pełni praw. Obiecano im je, ale obietnica ta nigdy nie została spełniona. Po 1967 r. stało się jasne, że Izrael nie może być jednocześnie państwem żydowskim i demokratycznym – połowa jego mieszkańców nie była Żydami.

Co się wydarzyło?

Rozpoczął się proces zaprzeczania. O okupacji mówiono jako o czymś tymczasowym. Do tego sam Sąd Najwyższy orzekł, że państwo może być jednocześnie żydowskie i demo-

Omer Bartov, profesor historii Europy i historii Niemiec na Uniwersytecie Browne



FOT. PETER GOLDBERG/MATERIALY PRASOWE

kratyczne, oraz zapewnił osadnikom – obywatelom Izraela mieszkającym poza jego terytorium – ochronę prawną. W dłuższej perspektywie okazało się jednak, że nie da się tego pogodzić. Etniczna tożsamość żydowska i religia zaczęły odgrywać coraz większą rolę. Pojawiła się też specyficzna religia osadników – nieobecny od dwóch tysięcy lat mesjanistyczny judaizm, wywodzący się z myśli rabina Kuka [Abraham Izaak Kuk to twórca filozoficznej koncepcji syjonizmu religijnego – red.]. Zmiana ta wpłynęła na charakter państwa. Dziś próbuje się wykazać, że bycie Żydem jest znacznie ważniejsze niż bycie zwolennikiem demokracji, a żydowskość jest zastrzeżona przede wszystkim dla wyznawców konkretnego odłamu judaizmu. Jak na ironię, Izrael upodabnia się do swoich największych wrogów: Iranu ajatollahów i Hamasu.

Osoby, które publicznie krytykują działania Izraela, często spotykają się z oskarżeniami o antysemityzm. Jaka jest różnica między antysemityzmem a antysemityzmem?

Syjonizm to ideologia polityczna. Niektórzy twierdzą, że stanowi ona integralną część ich tożsamości. Jeśli tak czują, to nie mogą im tego odebrać. Jednak nie zmienia to faktu, że mówimy o ideologii politycznej. Można ją popierać lub się jej sprzeciwiać, ale nie ma to nic wspólnego z antysemityzmem. To błędne rozumienie jego istoty. Antysemityzm polega na przypisywaniu Żydom jako grupie negatywnych zachowań lub cech. Jeśli ktoś zatrzyma mnie na ulicy w Londynie i zapyta: „Dlaczego zabijacie ludzi w Gazie?”, będzie to przejaw antysemityzmu. Osoba ta po pierwsze zakłada, że jestem Żydem, np. na podstawie kształtu mojego nosa lub stroju. Po drugie przyjmuje, że jako Żyd popieram

WYWIAD

działania Izraela i jego zbrodnie. Takie założenia są oparte na uprzedzeniach. Wyobraźmy sobie inną sytuację. Ktoś pyta mnie: „Czy jesteś Żydem?”, a ja odpowiadam twierdząco. Następnie zadaje mi pytanie: „Czy popierasz ludobójstwo w Strefie Gazy?”, a ja ponownie przytakuję. Taka osoba ma wtedy pełne prawo mnie potępić. Krytykowanie działań Izraela, a nawet twierdzenie, że dopuszcza się on ludobójstwa, nie ma nic wspólnego z antysemityzmem. Ma związek z narracją izraelskiego rządu, który od dawna powtarza, że potępienie jego zbrodni jest przestępstwem. To nie jest przestępstwo, lecz powinność.

Czy do zaciemnienia tych różnic przyczyniają się definicje antysemityzmu proponowane przez niektóre organizacje żydowskie? Tak, przy czym są one do siebie bardzo podobne. Nie ma znaczenia, czy chodzi o deklarację jerozolimską w sprawie antysemityzmu (JDA), czy o tzw. roboczą definicję IHRA [Międzynarodowego Sojuszu na rzecz Pamięci o Holokauście – red.]. Kluczowe są przykłady, które im towarzyszą. Promowana przez Izrael definicja IHRA zawiera 11 przykładów antysemickich wypowiedzi, z których siedem dotyczy państwa żydowskiego. Przyjęły ją m.in. Niemcy, Wielka Brytania, administracja USA i niektóre amerykańskie uniwersyte-ty. To propozycja, która – w zależności od interpretacji – kryminalizuje lub potępia krytyczne wypowiedzi na temat Izraela.

Obecnie podejmowane są próby stworzenia definicji, która uznaje antysemityzm za przejaw antysemityzmu. Jednak antysemityzm nie jest antysemicki. Partia Bund, największa partia żydowska w Europie, była antysyjonistyczna, podobnie jak wielu amerykańskich Żydów. Społeczności ortodoksyjne (charedim) na całym świecie, również w samym Izraelu, uważają, że syjonizm podważa ich wiarę, podkreślając, że należy czekać na nadejście Mesjasza. Ci ludzie nie są antysemitami. Postrzegają siebie jako bardziej przykładnych Żydów od tych mieszkających w Izraelu. To nie jest dyskusja o tym, jak zdefiniować antysemityzm. Tu chodzi o wykorzystywanie oskarżeń o antysemityzm jako narzędzia politycznego do uciszania krytyki Izraela. Skutki są jednak odwrotne do oczekiwanych. W Stanach Zjednoczonych i wielu krajach Europy obserwuje się ostatnio wzrost antysemityzmu.

Dlaczego Żydzi żyjący np. w Europie czują się tak silnie związani z Izraelem i często identyfikują się jako syjoniści?

Dorastałem w Ramat Awiw, na północ od Tel Awiwu. Wielu moich sąsiadów przybyło do naszej okolicy z Polski na fali emigracji marcowej. Nie byli syjonistami, tylko aparatczykami z klasy średniej. Ich dzieci zostały Izraelczykami, choć jadły polskie potrawy, a w domu i w sklepach mówiły po polsku. To była mała Polska. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do waszego kraju, wszystko przypominało mi dzieciństwo. Izrael był jedynym krajem, do którego mogli

się udać moi sąsiedzi, gdy zostali wyrzuceni z Polski. Po wojnach 1967 r. i 1973 r. wiele żydowskich społeczności na świecie zmieniło swoje podejście.

W jakim sensie?

Żydzi, którzy wcześniej nie darzyli Izraela szczególnymi uczuciami, zrozumieli, że może on zostać zniszczony. Nie chodzi o rzeczywistą chęć emigracji, lecz o pragnienie, aby to państwo istniało. Syjonizm i poparcie dla Izraela stały się częścią tożsamości wielu Żydów żyjących w diasporze. Jednocześnie nie chcieli oni wiedzieć zbyt wiele o jego niedociągnięciach. Od lat 70. XX w. więc tę wzmacniała edukacja: obwieszone izraelskimi flagami amerykańskie szkoły niedzielne, w których uczy się miłości do państwa żydowskiego. Kolejną kwestią jest wzrost świadomości, że Holokaust może się powtórzyć. Że żyjemy na krawędzi przepaści. To, co obecnie dzieje się w Izraelu – rosnąca popularność skrajnej prawicy, rasi- stowskie wypowiedzi, bezprecedensowa przemoc wobec Palestyńczyków – doprowadziło do kryzysu w społecznościach żydowskich na całym świecie. Jeśli Izrael będzie dalej podążał tą ścieżką, to diaspora się od niego zdystansuje. Nikt nie chce być kojarzony z krajem, który postępuje w szalony, przestępczy sposób. Myślę więc, że ta powierzchowna identyfikacja z państwem żydowskim i syjonizmem jest coraz trudniejsza do podtrzymania. Izrael wielokrotnie posługiwał się argumentami nawiązującymi do Holokaustu, by usprawiedliwić swoją przemoc, zwłaszcza po 7 października. Ludobójstwo, którego dopuścił się w Strefie Gazy, uzasadniał twierdzeniem, że Hamas próbował doprowadzić do kolejnej Zagłady. To oczywiście budzi wątpliwości. Odwoływanie się do Holokaustu stanowi ważny element powojennej tożsamości żydowskiej. Członkowie diaspory będą musieli przemyśleć, jak się na nowo zdefiniować. Będzie to trudny proces. Przypomnę, że w Izraelu rozwinął się szczególnie rodzaj judaizmu, którego żaden żyjący w diasporze Żyd nie może zaakceptować. Nie można być przecież zwolennikiem żydowskiej supremacji w Polsce – to jak strzelanie sobie w kolano. Rozłam religijny, który rozpoczął się jeszcze przed 7 października, dzisiaj się pogłębił. ©©

Omer Bartov

„Izrael. Co poszło nie tak?”, przeł. Tomasz Bieroń, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026



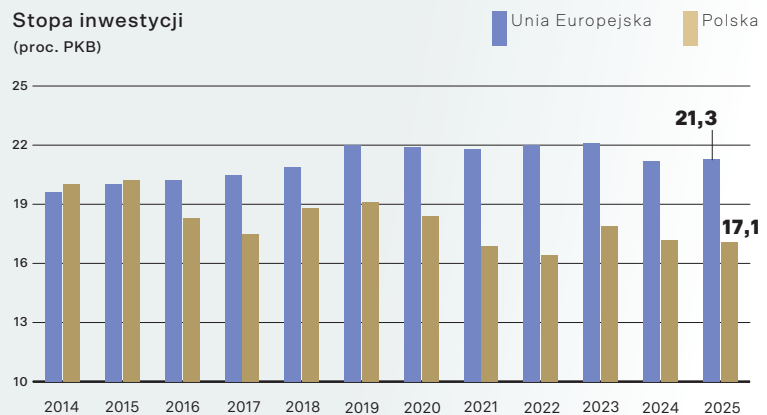
Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

Wyjść z inwestycyjnego ogona

Premier Donald Tusk oraz minister finansów i gospodarki Andrzej Domański zaprezentowali na początku tygodnia nowy pakiet działań, który ma służyć zwiększeniu inwestycji w naszej gospodarce. Chodzi o ułatwienia dla firm chcących korzystać z Polskiej Strefy Inwestycji czy planujących nakłady na innowacje lub transformację energetyczną. Mowa o nowym planie, bo jakiś czas temu przedstawiano inny, wzorowany na francuskim „planie Tibiego”. Czy zadziałają, dopiero się przekonamy. Nie ulega wątpliwości, że z inwestycjami w naszej gospodarce jest problem. Pod względem stopy inwestycji (ich relacji do PKB) jesteśmy wyraźnie poniżej unijnej średniej, a jeśli wziąć pod uwagę inwestycje prywatne, jesteśmy w ogonie. ©©



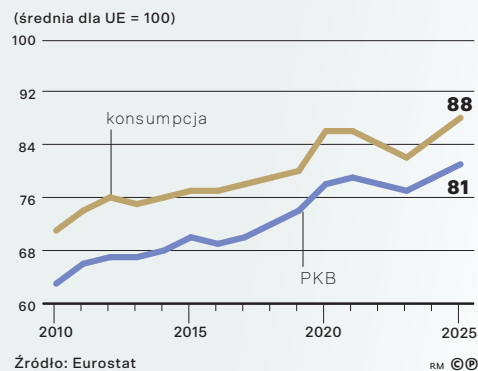
Źródło: Eurostat

RM ©©

W konsumpcji gonimy UE szybciej niż w PKB

Polska osiągnęła w 2025 r. 81 proc. średniej unijnej w poziomie PKB na mieszkańca i 88 proc. w konsumpcji – wynika z danych Eurostatu. W obu wskaźnikach w ciągu 10 lat poprawiliśmy się o ponad 10 pkt proc. To potwierdza, że konwergencja naszej

PKB i konsumpcja per capita w Polsce według parytetu siły nabywczej



Źródło: Eurostat

RM ©©

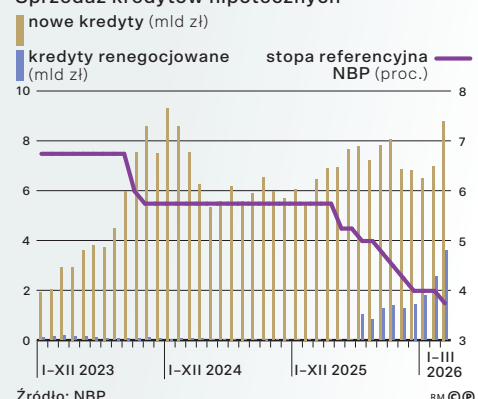
gospodarki do europejskiego standardu jest faktem. Ale dotyczy to nie tylko Polski. Przykład? Pod względem poziomu konsumpcji wyprzedziliśmy Portugalię, ale tuż za nami znajduje się Rumunia. Należy pamiętać, że to porównania, które biorą poprawkę na różnice w cenach. W przypadku konsumpcji poziom cen w Polsce był w ub.r. o prawie 30 proc. niższy niż unijna średnia. Rumunia była w tym czasie o ponad 40 proc. poniżej średniej. ©©

Miliardy renegocjacji

W poprzednim tygodniu przyglądałem się bliskiej rekordowi liczbie wniosków o kredyty hipoteczne. Pisałem, że w dużej mierze ten rekord zawdzięczamy wnioskowi o kredyty na spłatę wcześniejszego zadłużenia. Twardy dowód na poparcie

tej (oczywiście, jeśli posłuchać bankowców) tezy przedstawił właśnie Narodowy Bank Polski. W pierwszych trzech miesiącach 2026 r. banki udzieliły kredytów na nieruchomości wartych 30,2 mld zł, ale niemal 8 mld zł to były kredyty renegocjowane. Rok wcześniej sprzedaż wynosiła 18 mld zł, a wartość renegocjacji nie przekraczała 100 mln zł. Spłacie starych kredytów dzięki nowym pomagają niższe stopy procentowe. ©©

Sprzedaż kredytów hipotecznych



Źródło: NBP

RM ©©

Kraj

Czy Batory był gorszy od Korybuta Wiśniowieckiego

To zaczyna wychodzić poza debatę o ostrości języka. Mam obawę, że wypowiedzi sejmowe posłów Kowalskiego czy Czarnka podpalają Polskę

Z Andrzejem

Szeptyckim

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Spodziewał się pan, że wywoła awanturę na pół Polski? Nie. Szczerze mówiąc, byłem bardzo zaskoczony, że z powodu wywiadu u redaktora Jacka Żakowskiego trafiłem na ponad tydzień na czołówki portali i serwisów telewizyjnych, a w Sejmie wokół mojego nazwiska rozpęta się tak ostra dyskusja. Jednak im więcej upływa czasu, tym bardziej staje się dla mnie oczywiste, że nie powinienem się dziwić. Widzimy w ostatnich tygodniach, miesiącach, jak prawicowe ugrupowania polityczne z móżdżem budują antyukraińską narrację. Potrzebny był pretekst, by można było ostrze tej narracji wymierzyć w konkretnego polityka. Pasowałem do tego idealnie.

Znam wiele osób, które trzymają kciuki za Ukrainę i pomagały uchodźcom, ale zabolowały ich decyzja prezydenta Zełenskiego oraz wypowiedź, w której zestawiał pan UPA z żołnierzami polskiego podziemia niepodległościowego.

Mam tego świadomość. Od wielu osób, z których zdaniem się liczę, usłyszałem, że zabrzmiało to bardzo niefortunnie. Wiem, że to mocno wyświechtane słowa w takiej sytuacji, ale naprawdę nie chciałem nikogo urazić. Tak się jednak stało, więc – niezależnie od braku złych intencji – przepraszam. Chciałbym tylko,

żeby wybrzmiało jasno i mocno: moim celem było jedynie przedstawienie w miarę przystępny sposób perspektywy ukraińskiej czy części Ukraińców. Zostałem zapytany o to w studiu, odpowiedziałem zgodnie z moją wiedzą, resztę pan zna.

Jak pan na to zamieszanie patrzy już na chłodno? Jeżeli miałbym się jakoś wytłumaczyć, to chcę powiedzieć, że oprócz tego, że jestem politykiem i członkiem rządu, wciąż pozostaję też naukowcem. Zajmowałem się relacjami polsko-ukraińskimi przez niemalą część życia. Wydaje mi się, że jeżeli polityk ma fachową wiedzę w danym obszarze, to chyba dobrze, że dzieli się nią za pośrednictwem mediów? Osobiście cenię polityków, którzy potrafią porozmawiać nie tylko o codziennej nawalancie partyjnej, lecz także o tematach, na których się znają. Zapewne nie dyskutowalibyśmy przez tydzień o moim wywiadzie, gdybym zajmował się geologią albo astronomią. Być może zabrakło w mojej wypowiedzi wyraźnego zastrzeżenia, że nie reprezentuję zdania polskich naukowców, nie mówiąc o perspektywie rządu, którego jestem częścią.

A jakie jest pana zdanie? W sposób jasny i jednoznaczny potępiam zbrodnie UPA. Tym bardziej że kwestie tego, co się wydarzyło na Wołyniu, są bardzo dobrze opisane przez polskich historyków, takich jak prof. Grzegorz Motyka.

Burza po pana słowach wywołuje również pytanie, czy w tak drażliwych kwestiach jest pan w stanie prezentować polskie stanowisko? Od początku 2024 r. jestem wiceministrem nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie premiera Donalda Tuska; zostałem wskazany przez Polskę 2050. To te dwa fakty w pierwszej kolejności determinują moją działalność jako członka rządu. Oczywiście opozycja ma prawo krytycznie oceniać działania moje i rządu. Jeśli wzywa do dymisji wiceministra, to jest to rzecz normalna. Nie jest to przyjemne – zwłaszcza gdy się słyszy to po raz pierwszy. To dopuszczalne w debacie publicznej, a nierzadko nawet wskazane. Od tego jest opozycja, by patrzeć na ręce rządzącym czy krytykować. Ale czym innym jest krytyka czy żądanie dymisji, a czym innym próba weryfikacji ministrów czy pracowników administracji pod kątem etnicznym. To niedopuszczalne – i to nawet na poziomie prawnym. Artykuł 60 konstytucji mówi wprost: „Obywatele polscy korzystający z pełni praw publicznych mają prawo dostępu do służby publicznej na jednakowych zasadach”. Próba ograniczenia tych praw to nie tylko łamanie ustawy zasadniczej, lecz także skandal pachnący hitlerowskimi Niemcami z lat 30. czy rokiem 1968 w czasach komunistycznej Polski. Jeśli problemem miałyby być to, kim byli moi przodkowie, to w tej logice dojdziemy do absurdu wniosku, że liderem opozycji w Polsce nie powinien być ktoś, kto ma powinowatych w Austrii odpowiedzialnej za rozbiory. A prezes

Prawa i Sprawiedliwości takich krewnych ma – i żeby było jasne, nie jest to dla mnie żadnym problemem. Idźmy dalej: czy możemy uszeregować królów Polski jako dobrych i kiepskich pod kątem tego, jakie mieli korzenie? Czy Batory był gorszy od Korybuta Wiśniowieckiego?

Dotknęło to pana osobiście? Jakoś sobie z tym poradzę. Jestem pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego, wiceministrem, muszę się liczyć z krytyką, nawet jeśli czasem przesadną i absurdalną. Ale w tej sprawie nie chodzi o Szeptyckiego, tylko o to, że w kraju mamy obywateli Polski – przedstawicieli mniejszości narodowych, a także imigrantów i uchodźców, którym jest coraz trudniej. Pamięta pan pewnie incydent z Mostu Poniatowskiego sprzed miesiąca, kiedy ukraińskiego chłopaka chcieli rzucić do Wisły? To zaczyna wychodzić poza debatę o ostrości języka. I dlatego jest we mnie tyle emocji. Mam obawę, że wypowiedzi sejmowe posłów Kowalskiego czy Czarnka podpalają Polskę. I dlatego jestem wdzięczny marszałkowi Sejmu, panu premierowi i pani minister Pełczyńskiej za jednoznaczne stanowisko w Sejmie i w debacie publicznej. Dla mnie osobiście ważne jest to, że oprócz fali hejtu w social mediach dostałem mnóstwo wsparcia różnymi kanałami komunikacji, często od obcych osób. Zwłaszcza postawą Przemysław Czarnka jestem zasmucony i zadziwiony. Przecież gdy zaczęła się agresja Rosji przeciw Ukrainie, to kierowane przez niego Ministerstwo Edukacji i Nauki uruchomiło wiele instrumentów, żeby wspierać ukraińskich studentów i naukowców. Dziwi mnie to, z jego dzisiejszej postawy wynika, że nigdy nie chciał wspierać Ukrainy.

To był inny czas. Rosyjskie wojska były pod Kijowem, na granicy miliony uchodźców. Dziś rozmawiamy w zupełnie odmiennej rzeczywistości. To jasne, że sytuacja jest inna. Przypomnę, że dlatego specustawa pomocowa została głęboko zmodyfikowana. To naturalne. Ale jeśli ktoś pomagał Ukrainie, a dziś mówi, że w zasadzie tak nie było, jest to kłamstwo uzależnione od tego, jakie mamy akurat sondaże.

Rozumie pan, czym się kierował Zełenski, nadając imię „bohaterów UPA” jednostce wojskowej? Przecież wiedział, jaki będzie odzew nad Wisłą. Też górę wzięły sondaże?

To nie wiedza insajderska, ale mamy trzy podstawowe propozycje interpretacji tego, co się stało po stronie Ukrainy. Pierwsza – nie wiedzieli, że to wywoła taką burzę, druga – zupełnie się tym nie przejmowali, trzecia – zrobili na złość Polakom. Stawiam na drugą wersję, mocno rozkręconą przez kwestie wewnętrzne w Ukrainie. To przekonanie „nikt nam nie będzie meblował panteonu bohaterów”. Nawet jeśli

WYWIAD

oznacza to decyzję nie tyle na złość Polsce, ile wbrew Polsce. Zełenski liczy zapewne na efekt flagi, który pojawia się zawsze i wszędzie, gdy pojawia się spór międzynarodowy, który zahacza o historię. Ludzie wtedy w sposób naturalny biorą stronę swoich przywódców. Widzimy też pewne zmiany na arenie międzynarodowej, jeśli chodzi o rozpoczęcie po zmianie władzy na Węgrzech negocjacje w sprawie wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej. Na stole są jeszcze niemieckie propozycje „członkostwa stowarzyszonego”, które nie satysfakcjonują Kijowa. Jego droga do UE będzie trudna i długotrwała.

Ale chcę podkreślić, że moja ocena decyzji Zełenskigo jest jednoznacz-

na: popełnił wielki błąd i przyspieszył nim proces kruszenia się mozołnie budowanych relacji polsko-ukraińskich.

Uda się to skleić? Jeśli nie jutro, to pojutrze?

Interesującą ilustracją i odpowiedzią na pana pytanie są badania CBOS dotyczące stosunku polskiego społeczeństwa do innych narodów. Proszę zobaczyć, jak zmieniało się podejście do Ukraińców – to sinusoida, która generalnie idzie do góry, ale ma regularnie powracające kryzysy. Mieliliśmy podobną historię przy decyzji Juszczeki w 2010 r. o statusie bohaterów dla UPA, mieliśmy to w 2015 r., gdy Ukraina przyjęła ustawy histo-

ryczne. Sądzę, że przeżyjemy i ten dzisiejszy kryzys. W tym celu potrzebny jest jednak dialog. Mamy z Ukrainą na agendzie politycznej nie tylko sprawy historyczne, lecz także wojnę z Rosją czy wspomniany już proces akcesyjny. Dlatego musimy rozmawiać. Dialog przynosi wymierne efekty. W okresie rządów naszych poprzedników nie było ekshumacji polskich ofiar na Wołyniu; dzięki naszym staraniom zostały one wznowione. Po decyzji Zełenskigo i ostrej reakcji naszych władz przyjechał do Polski Kyryło Budanow, szef Kancelarii Prezydenta Ukrainy. Rozmawiał z przedstawicielami zarówno rządu, jak i Pałacu Prezydenckiego. Przekazaliśmy jasno nasze stanowisko,

miejmy nadzieję, że to przyniesie efekty. I wreszcie: szykujemy się do gdańskiej Ukraine Recovery Conference, w której weźmie udział prezydent Zełenski. To będzie ważne forum rozmów. Pojawi się temat nie tylko odbudowy Ukrainy, lecz także roli, jaką w tym procesie będą odgrywać polskie firmy. ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Andrzej

Szeptycki

wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, politolog, profesor na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW

FOT. WOUTEK GORSKI



Tusk przejmuje język prawicy i ryzykuje własny elektorat

Daria Al Shehabi

We wtorek, podpisując rekomendacje dotyczące local content, Donald Tusk po raz kolejny mówił o „nacjonalizmie gospodarczym, ale w dobrym tego słowa znaczeniu”. Zapowiedział twarde stawianie na polskie firmy i pilnowanie, by uczestniczyły w największych inwestycjach prowadzonych w kraju. Nie był to lapsus ani jednorazowy ukłon w stronę prawicowego elektoratu. Już wcześniej premier mówił o repolonizacji gospodarki, narodowych interesach i państwowym egoizmie. „Najpierw polskie” ma być zasadą przy wydawaniu publicznych pieniędzy. Polska ma przestać być naiwna, przestać dawać się rozgrywać silniejszym partnerom i zacząć pilnować przede wszystkim własnego interesu. „Nie ma już w Polsce frajerów” – ogłosił Tusk podczas jednej z wcześniejszych prezentacji programu local contentu.

Samo wspieranie polskich firm nie jest oczywiście prawicowe. Państwo może wykorzystywać zamówienia publiczne do rozwoju własnego przemysłu. Po pandemii i rosyjskiej inwazji na Ukrainę nawet najbardziej liberalne rządy w Europie zaczęły mówić o bezpieczeństwie dostaw, odporności gospodarki i strategicznych sektorach. Kapitał może nie mieć paszportu, ale fabryki, podatki i miejsca pracy zawsze znajdują się w konkretnym kraju.

Tylko ten słownik... Przez lata posługiwała się nim przede wszystkim prawica, oskarżając liberalne centrum o naiwność wobec zagranicznego kapitału, Unii Europejskiej i globalizacji. Dziś coraz swobodniej sięga po niego premier rządu, który miał być dla prawicy alternatywą.

Podobnie jest z granicą. Polska ma prawo bronić się przed operacją hybrydową z Białorusią. Może kontrolować, kto wjeżdża na jej terytorium, i wymagać przestrzegania prawa. Nie trzeba być narodowcem, by uznać, że polityka migracyjna nie może polegać na braku polityki. Problem zaczyna się wtedy, gdy narzędzia sprawnego państwa stają się częścią prawicowej opowieści o świecie.

Rządową strategię migracyjną nazwano „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo”. Tusk zawiesił możliwość składania wniosków o ochronę międzynarodową na granicy z Białorusią, sprzeciwia się relokacji migrantów i coraz mocniej łączy migrację z bezpieczeństwem państwa. W centrum debaty są dziś kontrola, zagrożenie i obrona własnej wspólnoty.

Polityczna kalkulacja jest czytelna. PiS i Konfederacja zbudowały swoją przewagę na kilku prostych pytaniach: kto ochroni granicę, kto zagwarantuje pierwszeństwo interesom Polaków, kto obroni krajowe firmy przed silniejszym zagranicznym kapitałem. Tusk coraz rzadziej kwestionuje sposób, w jaki prawica te pytania stawia. Próbuje za to udowodnić, że potrafi udzielić lepszej odpowiedzi.

Ta strategia może działać na własny elektorat. Wyborcy KO nie są tak liberalni w sprawach migracji, jak lubią ich przedstawiać przeciwnicy. W badaniu Opinii24 dla More in Common 87 proc. z nich zgodziło się, że Polska powinna odzyskać pełną kontrolę nad tym, kogo wpuszcza przez granice. Jednocześnie jednak tylko 8 proc. chciało zmniejszenia liczby cudzoziemców przyjeżdżających do kraju.

To zasadnicza różnica. Wyborcy Tuska chcą sprawnego państwa, niekoniecznie państwa zamkniętego. Mogą popierać szczerłą granicę i nie uznawać migrantów za zbiorowe zagrożenie. Mogą oczekiwać wsparcia polskich firm, nie traktując każ-

dego zagranicznego inwestora jak podejrzanego. Twarda polityka nie musi ich więc odstraszać. Może nawet działać odwrotnie. Duża część elektoratu KO przyjmuje stanowisko premiera i razem z nim zmienia sposób myślenia o migracji czy gospodarce. Problem w tym, że Tusk może przekonać część swoich wyborców do niektórych prawicowych diagnoz, nie przekonując do siebie wyborców prawicy. Wyborca PiS lub Konfederacji ma już polityków, którzy mówili, że migracja jest przede wszystkim zagrożeniem, a gospodarka starciem narodowych interesów, gdy Tusk używał zupełnie innego języka. Po co wybierać późnego naśladowcę, skoro można pozostać przy oryginale?

A co z bardziej lewicową częścią elektoratu KO? Przez pewien czas może ona głosić na Tuska strategicznie, bo nadal widzi w nim jedyną realną zaporę przed powrotem PiS. Taka lojalność ma jednak swoje granice. Zwłaszcza że polityczna strata nie zawsze polega na odpływie wyborców do innych partii. Czasem objawia się słabszą frekwencją, mniejszą mobilizacją i przekonaniem, że nie ma już czego bronić.

Podobny eksperyment przeprowadził brytyjski premier Keir Starmer. Zaostrzał politykę migracyjną i ostrzegał, że Wielka Brytania może się stać „wyspą obcych”. Partia Pracy miała tym przekonać wyborców ultraprawicowej Reform UK, że centrolewica także potrafi być twarda, tylko rozsądniej, spokojniej i bez Nigela Farage’a. Co pokazały badania? Że Labour zaczęto postrzegać jako ugrupowanie bardziej antyimigracyjne, a sama migracja stała się dla respondentów ważniejszym problemem. Poparcie dla partii jednak nie wzrosło. Pogorszyła się za to ocena Starmera.

Wybory lokalne w maju 2026 r. ujawniły, gdzie pojawiły się największe straty. Spośród wyborców Labour z 2024 r., którzy ponownie poszli do urn, tylko 46 proc. pozostało przy partii. Do Reform UK odeszło 6 proc., do Zielonych 22 proc., a do Liberalnych Demokratów 16 proc. Starmer stracił więc niemal cztery razy więcej wyborców na rzecz Zielonych niż na rzecz partii Farage’a.

Nie znaczy to, że to sam prawicowy język doprowadził Partię Pracy do kryzysu. Brytyjczycy oceniali również gospodarkę, usługi publiczne, politykę budżetową i samego premiera. Wniosek jest skromniejszy, ale dla Starmera równie bolesny: zwrot w stronę Reform UK ani nie odebrał prawicy jej wyborców, ani nie uchronił jego partii przed odpływem jej własnych na lewą stronę. Dla Tuska najbardziej ryzykowny byłby podobny układ: prawica zachowuje własny elektorat, a część wyborców KO odpływa do Lewicy albo rezygnuje z udziału w wyborach.

Tusk nie jest Starmerem, a Polska Wielką Brytanią. Kryzys na granicy z Białorusią ma realny wymiar bezpieczeństwa. Gospodarczy patriotyzm może połączyć wyborców prawicy, centrum i lewicy. Konkurencja po progresywnej stronie też jest w Polsce słabsza niż w Wielkiej Brytanii. Brytyjski przykład nie jest więc przepowiednią. Pokazuje jednak, że przejście języka przeciwnika może zmienić temat debaty, nie zmieniając politycznych sympatii wyborców.

Na tym polega ryzyko całej operacji. Dla wyborców PiS i Konfederacji Tusk zostanie Tuskiem, nawet gdy zacznie mówić ich językiem. Dla części własnego obozu może za to przestać być politykiem, którego warto wspierać. Prawica zachowa swoich, a premier może zgubić część własnych. Trudno o gorszy bilans. ©

Historia

Długa droga ku zagładzie

Najlepsze okręty rosyjskiej Floty Bałtyckiej pokonały 18 tys. mil morskich, o mały włos nie wywołując kilku wojen. Ich rejs zakończył się nieuchronną egzekucją pod Cuszimą

Andrzej

Krajewski

Rosyjska „operacja specjalna” w Ukrainie miała się zakończyć po tygodniu. Przynajmniej tak wynika z kremlofskich dokumentów, pozyskanych przez zachodnie wywiady. Napaść zamieniła się jednak w trwającą już piąty rok wojnę na pełną skalę. Z każdym kolejnym miesiącem słabości Rosji są coraz bardziej widoczne. Podobnie jak przed 120 laty, gdy konflikt z Japonią obnażył kruche fundamenty imperium Romanowów. Najbardziej kompromitującym epizodem stały się zmagania II Eskadry Floty Bałtyckiej.

Ambitny admirał

„Ponieważ czas naglił, car Mikołaj II zwołał w dniu 23 sierpnia 1904 r. w Peterhofie poufną naradę z udziałem wielkich książąt Aleksieja Aleksandrowicza i Aleksandra Michajłowicza, tytularnego ministra marynarki (de facto kierownika resortu) wiceadm. Fiodora Awielana, szefa Sztabu Głównego Marynarki Wojennej kontradm. Rożestwińskiego, ministra wojny ge-

nerała Wiktora Sacharowa, ministra spraw zagranicznych Władimira Lamsdorffa i ministra finansów Władimira Kokowcowa” – pisze w książce „Rosyjska flota wojenna na Bałtyku w latach 1905–1917” Marek Herma. Monarcha zapytał zgromadzonych, czy należy posłać okręty Floty Bałtyckiej z odsieczą dla Port Arthur, kluczową bazę rosyjskiej marynarki wojennej na Pacyfiku. W nocy z 8 na 9 lutego 1904 r. zaatakowały ją japońskie torpedowce, poważnie uszkadzając dwa pancerniki i jeden krążownik pancernopokładowy. Admirał Heihachirō Tōgō rozpoczął następnie blokadę morską.

Wiosną 1904 r. carska flota w Port Arthur kilka razy podjęła nieśmiałe próby jej przełamania, ale po krótkich starciach wycofywała się do bezpiecznej bazy. Car mianował jej dowódcą kontradmirała Wilgelma Witgefta i rozkazał mu przebić się do Władywostoku. Okręty ruszyły do boju 10 czerwca 1904 r. Choć Witgeft dysponował sześcioma pancernikami, a wróg tylko czterema, po trzech godzinach ostrzeliwania uciekających Rosjan jeden z japońskich pocisków trafił w mostek pancernika „Cesarzewicz”. Kontradmira-

Bitwa pod Cuszimą.
27–28 maja 1905 r.



FOT. DEA PICTURE LIBRARY/DE AGOSTINI VIA GETTY IMAGES

WOJNA MORSKA

rał zginął wraz z całym sztabem. Carska flota się rozpięchła, co okazało się udanym manewrem. Do Port Arthur zawróciło 10 okrętów, zaś dziewięć schroniło się w chińskich portach, kontrolowanych przez europejskich kolonizatorów. Japończycy zatopili jedynie samotnie płynący w stronę Władysława krążownik „Nowik”.

Na wieść o niepowodzeniu operacji Mikołaj II postanowił posłać do bazy odsiecz. Flota Czarnomorska nie wchodziła w grę, bo na mocy traktatu paryskiego z marca 1856 r. przez cieśninę Bosfor i Dardanele mogły przepływać jedynie tureckie okręty wojenne. Pozostawała Flota Bałtycka. „Minister wojny wypowiedział się przeciwko wysłaniu eskadry jesienią, przywołując argument, iż carskie armie walczące na Dalekim Wschodzie będą mogły przejść do ofensywy najwcześniej wiosną przyszłego roku. Stanowisko gen. Sacharowa spotkało się z poparciem większości uczestników narady, którzy skłaniali się do odłożenia wyprawy do wiosny” – pisze Marek Herma.

Jedynym uczestnikiem spotkania, który wyraził odmienną opinię, był kontradmirał Zinowij Rożestwiencki, który zapewnił cara, że wskaże najlepsze okręty i zadba, by przed rejssem wszystkie usterki zostały usunięte. „Ekspedycja zapowiada się jako bardzo trudna, ale jeśli Jego Carska Mość wyda mi rozkaz, to stanę na czele eskadry i poprowadzę ją do boju z Japonią” – zapowiedział. Słowa szefa sztabu głównego marynarki zachwyciły Mikołaja II, który czuł się otoczony przez defetystów i kunktatorów. W końcu znalazł się człowiek gotowy do ryzykownych działań. Choć poza Rożestwienkiem wszyscy byli przeciwko odsieczy, car zdecydował, że wydzielona z Floty Bałtyckiej II Eskadra popłynie na ratunek Port Arthur i awansował inicjatora wyprawy na wiceadmirała.

Marynarka na rosyjską miarę

Od początku wojny Rosjanie nie byli w stanie odnieść na morzu choćby małego zwycięstwa. Jednak Mikołaj II nie brał tego pod uwagę. „II Eskadra wyszła w morze 15 października 1904 r., biorąc kurs na cieśninę duńskie. W skład eskadry wchodziło 7 pancerników (w tym 5 nowych), 2 krążowniki pancerne i 4 pancernopokładowe, 8 kontrtorpedowców oraz 7 jednostek pomocniczych. Wiceadmirał Rożestwiencki mógł ponadto liczyć na dodatkowe wsparcie w postaci kilku okrętów Floty Bałtyckiej, które nie osiągnęły jeszcze gotowości operacyjnej i tymczasowo pozostały w bazach” – pisze Herma. Tak zaczęła się epopeja, którą z rosnącą fascynacją śledził cały świat.

Imperium Romanowów zawsze stawiało na pierwszym miejscu siły lądowe, marynarka wojenna była na dalszym planie. „Niedobory wyszkolonego personelu uzupełniano rezerwistami, poborowymi i żołnierzami, których wcześniej uznano za fizycznie lub politycznie niezdolnych do czynnej służby” – pisze

w poświęconym losom II Eskadry opracowaniu „Voyage of the Damned” Peter G. Tsouras. „Połowę marynarzy eskadry stanowili niedawno powołani chłopcy, którzy byli słabo wyszkoleni i źle przygotowani. A szkolenie rezerwistów okazało się przestarzałe, co czyniło ich niewiele skuteczniejszymi od poborowych” – relacjonuje Tsouras.

Jakość kadry dowodzącej nie przedstawiała się dużo lepiej. „Większość profesjonalnych, doświadczonych oficerów i szeregowych znajdowała się na Dalekim Wschodzie” – podkreśla Tsouras. Na tym lista słabości eskadry się nie kończyła. „We Flocie Bałtyckiej było wielu rewolucjonistów i dysydentów. Główny inżynier na pokładzie pancernika «Orel», oficer marynarki wojennej, prowadził coś w rodzaju rewolucyjnej wypożyczalni książek dla szeregowych. Jego dumą był egzemplarz «Kapitału» ukryty za ikoną Świętego Mikołaja” – opisuje Tsouras. Na najlepszych okrętach Floty Bałtyckiej popłynęło walczyć z Japończykami ok. 15 tys. poddanych Mikołaja II, z których tylko nieliczni nadawali się do udziału w bitwie morskiej.

Pogromcy rybaków

„Kluczowy problem zaopatrywania okrętów II Eskadry w paliwo w trakcie pochodu na Daleki Wschód rozwiązano, zawierając umowę na dostawy węgla z armatorem niemieckim – Towarzystwem Żeglugowym „Hamburg – Amerika Linie” (HAPAG)” – wyjaśnia Marek Herma. Wielka grupa okrętów potrzebowała do opalania kotłów parowych ok. 500 tys. ton węgla, żeby przepłynąć 18 tys. mil morskich. Tymczasem na trasie rejsu Rosja nie miała choćby jednej kolonii czy portu. Szefostwo HAPAG obiecało rozwiązać ten problem, który dodatkowo komplikowała konieczność przeładowywania węgla na morzu.

Trudności mnożyli też sami Rosjanie. „Eskadra zaledwie opuściła port i już po trzech dniach, uszkodziła trzy duńskie węglowce podczas operacji przeładunku węgla w pobliżu Wielkiego Bełtu (cieśniny położonej między duńskimi wyspami Fionią i Langeland a Zelandią i Lolland – red.). Swoje trzy grosze dorzucił jeszcze japoński wywiad. Jego agenci rozpuszcili wśród dziennikarzy w Europie plotkę, że na spotkanie z II Eskadrą Tokio posłało zespół kontrtorpedowców, który znajduje się już na wodach otaczających Stary Kontynent. Informacja ta brzmiała absurdalnie, lecz w Petersburgu wzięto ją na poważnie i drogą radiową przekazano wiceadmirałowi Rożestwienkiemu ostrzeżenie. Ten powiadomił dowódców okrętów, którzy wieczorem 22 października 1904 r. zareagowali atakiem paniki. „Gdy eskadra dotarła na wysokość łowiska Dogger Bank (około 30 mil od miasta Hull), panika osiągnęła punkt kulminacyjny. Rosyjski okręt warsztatowy «Kamczatka» zaraportował, że jest atakowany przez niezidentyfikowane torpedowce” – relacjonuje Marek Herma.

Niedługo potem z mostka pancernika „Kniaź Suworow”, którym płynął Rożestwiencki, dostrzeżono migają-

ce na morzu światelka. Była to grupa brytyjskich kutrów rybackich. Rosyjskie pancerniki i krążowniki natychmiast otworzyły ogień z dział, ale na szczęście dla rybaków artylerzyści pudłowali. Po zatopieniu jednego kutra dali Brytyjczykom spokój i zaczęli strzelać do siebie nawzajem. II Eskadra przetrwała noc tylko dzięki temu, że obsługa okrętowych dział nie radziła sobie z trafianiem do celu. Pociśki artyleryjskie zadały poważniejsze szkody jedynie krążownikowi „Auro-ra”, który przetrwał atak, choć odłamki zabiły kapelana Aleksandra Iwanowicza Rukina.

Śmierć popa mało kogo obeszła, inaczej niż zabicie trzech rybaków. „Jest niemal nie do pomyślenia, aby ktokolwiek nazywający siebie marynarzem, niezależnie od tego, jak bardzo by się bał, mógł przez dwadzieścia minut bombardować flotę kutrów rybackich” – grzmiał dzień po incydencie „The Times”. Brytyjską opinię publiczną ogarnęła furia. Oto u wybrzeży Wielkiej Brytanii rosyjska marynarka zamordowała poddanych króla Edwarda VII i strzelała do innych. Premier Arthur Balfour chciał zawrzeć z Rosją sojusz przeciwko Niemcom, lecz w tej sytuacji nie miał wyjścia i posłał w pośpiechu za II Eskadrą pancerniki Royal Navy. Te zablokowały jej drogę w okolicach hiszpańskiego Vigo. W Europie zapachniało wojną, ale na wysokości zadania stanęła dyplomacja francuska, która zrobiła wszystko, aby nie dopuścić do otwartego konfliktu między bliskimi sojusznikami III Republiki. Dzięki mediacjom Paryża Mikołaj II i premier Balfour uzgodnili, że incydemem zajmie się Międzynarodowa Komisja Śledcza, a carska eskadra ruszy w dalszy rejs.

W lutym 1905 r. komisja przedstawiła raport, który nakazywał Rosji wypłacić Wielkiej Brytanii odszkodowanie w wysokości 65 tys. funtów szterlingów oraz złożyć przeprosiny. Tymczasem II Eskadra nadal walczyła na morzach i oceanach z przeciwnościami losu, a Brytyjczycy po cichu starali się, aby ich liczba rosła.

Niegotowi na egzekucję

Po interwencjach Londynu Hiszpania i Francja nie pozwoliły okrętom II Eskadry zawiać do portów pozostających pod ich kontrolą. Rosyjskich pancerników i krążowników nie przepuszczono też przez Kanał Sueski – oficjalnie z powodu zbyt dużych rozmiarów. Musiały więc żeglować wokół Afryki, choć oznaczało to ryzyko niedoboru paliwa. Rożestwiencki nakazał więc przeładowywanie ze statków HAPAG wszystkich dostaw. „Węgiel składowano wszędzie, gdzie było wolne miejsce. Gromadzono w kwatrach oficerskich, w kabinach, w przejściach wieżyczek działowych, a nawet luzem na pokładach działowych” – relacjonuje Peter G. Tsouras. „Chmury pyłu węglowego zanieczyszczały żywność, sprzęt, a w końcu również morale załogi. To właśnie w takich warunkach pojawiły się pierwsze groźby

strajku i buntu. Rożdestwiencki zagroził, że wszystkich buntowników wsadzi do łodzi i zostawi na morzu, co na jakiś czas rozwiązało sprawę” – dodaje.

Z powodu składów węgla nie było możliwości prowadzenia ćwiczeń artyleryjskich, szkolenia załóg i szlifowania współpracy między dowódcami. „Rosjanie jednak uczyli się perfekcyjnego uzupełniania zapasów węgla na morzu i mieli ustanowić na tym polu rekord świata” – podkreśla Tsouras. Żadna inna flota w dziejach nie przeładowała tyle węgla podczas jednego rejsu.

Jedynym, który pozwolił Rosjanom na załadunek w swoich portach, był sułtan Maroka Abd al-Aziz IV. I szybko tego pożałował. Po wpłynięciu do portu w Tangerze rosyjskie okręty o mały włos nie staranowały innych statków. Ratujący się przed zderzeniem krążownik pomocniczy „Anadyr” podczas wyciągania kotwicy zerwał podmorski kabel telegraficzny łączący Afrykę z Europą. W ten sposób na cztery dni przerwano bezpośrednią komunikację pomiędzy kontynentami.

Gdy na początku 1905 r. Rosjanie zawinęli w okolice Madagaskaru i nadeszła depesza o upadku Port Arthur, okazało się, że przewożone w okrętowych chłodniach mięso w całości zgniło. W obawie przed nieobliczalnością Rosjan Francuzi nie pozwolili im uzupełnić zapasów w swojej kolonii. „W tym momencie admirał doznał zrozumiałego załamania nerwowego” – relacjonuje Tsouras. Przez kilka dni nie opuszczał swojej kajuty. Marynarze zaczęli się wówczas buntować. Dopiero groźba rebelii wyrwała Rożestwienckiego z depresji. Wykazał rozstrzelanie 14 prowodyrów, a całej eskadrze zaordynował manewry. Podczas ćwiczeń artylerzyści z „Kniazia Suworowa” tylko raz trafili w cel. Inne okręty strzelały równie fatalnie.

Wiceadmirał postanowił kontynuować misję, choć w praktyce straciła ona sens. Po zniszczeniu rosyjskiej floty na Dalekim Wschodzie przez Japończyków nie mógł też liczyć na wsparcie. „27 maja 1905 r. w godzinach rannych siły wiceadmirała Rożestwienckiego weszły na wody Cieśniny Cuszimskiej i natknęły się na linie dozoru japońskiego” – pisze Marek Herma. Trwająca pięć godzin bitwa morska pod Cuszimą przypominała egzekucję. Japończycy zatopili lub przejęli większość okrętów II Eskadry. Ocalało ledwie dziewięć z nich. Ciężko ranny Zinowij Rożestwiencki przeżył, trafiając do japońskiej niewoli.

Carska rodzina z niedowierzaniem przyjęła wiadomość o klęsce. Siostra monarchy Olga odnotowała we wspomnieniach: „Byłam w pałacu, kiedy nadszedł telegram. Alix (żona Mikołaja II – red.) i ja siedziałyśmy w jego pokoju. Nagle [car] zrobił się na twarzy szary jak popiół, zachwiał się i chwycił za krzesło. Alix zaczęła płakać”. ©©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

Na tropie papierowych skarbów

Książki bywają na tyle ważne, żeby ludzie chcieli ryzykować życiem dla ich ratowania

Sebastian

Pawlina

Gdy podczas II wojny światowej Niemcy planowo niszczyli dorobek kultury i nauki społeczeństw, które uznawali za gorsze od siebie, partyjni bonzowie, tacy jak Hermann Goering, Hans Frank, a przede wszystkim Adolf Hitler, byli opanowani żądzą przejmowania na własność obrazów, rzeźb, rękopisów, książek. Jedni robili to dla zysku, inni dla chwały III Rzeszy. Planowano, że w 1950 r. w Linzu powstanie Muzeum Führera, w którym będzie można oglądać najcenniejsze eksponaty z europejskich kolekcji. Ale nawet fiasco projektu 1000-letniej Rzeszy, oczywiście co najmniej od początku 1943 r., od klęski stalingradzkiej, nie powstrzymało Niemców przed rozkradaniem zbiorów z podbitych państw.

Po upadku powstania warszawskiego ekipa polskich muzealników, bibliotekarzy, archiwistów i naukowców przekonała niemieckie władze do pomysłu ratowania kolekcji zgromadzonych w Warszawie wizją wywiezienia ich w głąb Niemiec. Dla tych pierwszych był to jedyny sposób na ocalenie śladów przeszłości kraju i narodu, dla drugich – szansa na przejęcie ich i wzbogacenie się. Klęska zagładająca im w oczy dawała się odgonić jedynie dzięki marzeniom o spokojnym i dostatnim życiu. Takimi obrazami żył również Frank. Pierwszy prawnik III Rzeszy, człowiek mający się za rozsądnego intelektualistę, kolekcjonował książki, którymi chciał się otoczyć po wojnie.

Chaos ostatnich miesięcy wojny sprawił, że Niemcy nie mieli już szans na przejęcie części transportów. Niektórzy z Polaków zaś nie myśleli o niczym innym.

Targ o wódkę

Krótko po tym, gdy 17 stycznia 1945 r. Warszawa została wyzwolona, Bohdan Korzeniewski, historyk teatru i reżyser teatralny, zaczął intensywnie szykować się do akcji ratowania książek wywiezionych z miasta koleją. Dotarło do niego, że pozostawione w stolicy zbiory ocalały, ale to, co z narażeniem zdrowia i życia jeszcze niedawno pakowali do skrzyń i pociągów, czekał niepewny los. Zdawał sobie sprawę, że każdy dzień zwłoki zwiększa ryzyko zniszczenia cennych dokumentów, rękopisów, listów, często niemających kopii.

Od polskich kolejarzy dowiedział się, że sześć wagonów dojechało do Botschowa, dzisiaj Boczowa, położonego około 30 km na wschód od Frankfurtu nad Odrą. Miejsce nie było przypadkowe. Tuż obok znajduje się wieś Garbicz, wtedy Görbitsch, a w niej pałac. To tam zdecydowano się schować książki i rękopisy z warszawskich bibliotek, m.in. Narodowej i Zamoyskich.

Wypasowany w tę wiedzę Korzeniewski spróbował przekonać jednego z urzędników państwowych, aby ten pomógł mu w zorganizowaniu wyprawy. Mężczyzna zgasił jednak jego zapał. „Te tereny są jeszcze zajęte. Toczą się ciężkie walki. Zaraz zawiadomimy ambasadę radziecką i poprosimy o przekazanie tej wiadomości odpowiednim sztabom. No cóż? Wypadnie poczekać” – miał powiedzieć.

Siedem tygodni później Korzeniewski dostał wiadomość, że może zacząć organizować wyjazd. Tak jak za pierwszym razem poszedł do gmachu Warszawskiej Dyrekcji Kolei, pełniącego tymczasowo rolę siedziby polskiego rządu. Budynek przypominał ul, nieustannie w ruchu i nieustannie rozbrzmiewający głosami, tupaniem, stukaniem w maszyny i dzwonkami telefonów. W tym ścisłu i hałasie Bohdan chodził od pokoju do pokoju, próbując zdobyć pozwolenia na podróż – w końcu na zachodzie nadal toczyły się walki – oraz jakkolwiek środek transportu. Urzędnicy nawet starali się mu w tym pomóc, ale niewiele mogli, bo i niewiele mieli. Obiecali mu więc samochód, ale od razu dodali, że musi mieć na niego talon, bo inaczej jakaś służba może mu go zabrać na drodze. Tego akurat nie mieli. Któryś kolejny rozmówca poradził, żeby po prostu nie zatrzymywał się podczas jazdy na żadne wezwanie. No, chyba że będzie to riegulirowszczica (tak nazywano żołnierki lub milicjantki kierujące ruchem). Dostał też papier na broń, którą miał pobrać w Urzędzie Bezpieczeństwa, i pisma polecające do jednego z zastępców wodza naczelnego. Przy tym ostatnim dokumencie usłyszał, żeby nie robił sobie nadziei, bo sztab co chwila zmienia miejsce postoju, więc pewnie i tak go nie znajdzie.

Zanim opuścił gmach WDK, poprosił jeszcze o benzynę, zapasy jedzenia oraz o 20 litrów wódki. Życzenie przedstawił samemu ministrowi skarbu. Ten zapytał reżysera, po co mu aż tyle alko-



Bohdan Korzeniewski, historyk teatru i reżyser teatralny, przy biurku podczas pracy

holu. Pije? Nie, ale wie tak samo dobrze jak minister, że jest to najpewniejszy środek płatniczy w kraju. Na stwierdzenie przedstawiciela państwa, że środkiem płatniczym jest polski złoty, Korzeniewski rzucił bez wahania: „wojskowi różnych szarż, zwłaszcza niższych, a od nich zależy powodzenie tej akcji, bardziej cenią wódkę od złotego”. Minister dał się przekonać, ale dał tylko 10 litrów.

Pan Józef

Po samochód Korzeniewski pojechał na plac Narutowicza. W spisany później reportażu „Książki” zanotował, że „przypominało to żywo targ koński w jakimś Sochaczewie czy Płońsku”. Pojazdy stały jeden obok drugiego, a między nimi krążył ubrany w wymęczony mundur kapitan. Nieustannie towarzyszył mu tłumek interesantów. Minęło kilka godzin, zanim Bohdan doczekał się na swoją kolej. Załatwienie samej sprawy trwało moment. Oficer uzupełnił papiery o numer rejestracyjny przydzielonej ciężarówki, po czym wskazał barak, w którym siedzieli kierowcy do wynajęcia, i poszedł dalej.

W pomieszczeniu przy piecyku siedziało kilkunastu mężczyzn. Szybko ocenili nowego zleceniodawcę i wrócili do swoich zajęć. Na to, co Korzeniewski mówił, w ogóle nie zwracali uwagi. Ten już się miał wycofać, gdy podszedł do niego jeden z szoferów. W kilku zdaniach skrytykował kolegów po fachu,

po czym obaj wyszli na zewnątrz, gdzie odnaleźli samochód, którym mieli jechać. Gdy okazało się, że jest to nowy, amerykański Studebaker, Józef, bo tak miał na imię kierowca, z pełną powagą powiedział, że pojedzie.

„Tylko nie wyobrażaj sobie pan, że jak inni jadę na szaber. Nigdy dotąd cudzego nie tknąłem, to i teraz nie tknę. Taki już głupi się urodziłem. Jadę, bo z Niemcami mam swoje porachunki. Chciałbym im się jeszcze raz z bliska przyjrzeć. Pozwolisz pan tylko, żeby potem nie było pretensji, że przywiozę szafę dla żony. Jak jej obiecałem, to muszę słowa dotrzymać” – wyznał wedle relacji Korzeniowskiego.

Józef z żoną przed wybuchem powstania mieszkali na warszawskiej Woli w niedużym, ale ładnie urządzonej mieszkaniu. Cały ich dobytek się spalił. Oni mieli więcej szczęścia. Jego wywieziono do Mauthausen, ją zagnało do krewnych na wieś, gdzie w końcu się odnaleźli. Byli jak setki tysięcy innych pozbawionych wszystkiego, ale z uporem próbujących wrócić do życia dzięki pracy własnych rąk. W tej codziennej walce Józef znalazł miejsce na to, żeby w towarzystwie dwóch idealistów, bo takimi byli Korzeniewski i towarzyszący mu sinolog Witold Jabłoński, ruszyć za frontem w poszukiwaniu książek.

Bez wiary

Przygotowania trwały jeszcze kilka dni. W tym czasie Józef skonstruował w ciężarówce skrytkę na największy skarb – wódkę. Chwalił się Bohdanowi, że „sam diabeł jej nie znajdzie (...)



FOT. NAC

chyba żeby to był inny warszawski szofer”. W końcu ruszyli. Pierwszy dłuższy przystanek mieli w Poznaniu. Tam od wojewódzkiego komendanta MO dostali dwóch ludzi z bronią do ochrony, a od prezesa dyrekcji poznańskiej Polskich Kolei Państwowych upragniony talon na samochód. Teraz mogli jeździć prawie bez obaw. Prawie, bowiem na drogach pełno było luźnych oddziałów sowieckich, niemało bandytów, a i niemieckie niedobitki się trafiały.

Do Bottschow z Poznania dotarli w kilka godzin. Jedynym zagrożeniem, z jakim się zetknęli na drodze, były próbujące ich zatrzymać grupy maruderów. Pomni ostrzeżeń nie zwracali uwagi na machanie rękami, a wręcz przyspieszali. Korzeniewski ironizował później, że ta ostrożność niekoniecznie była potrzebna, a tamtym mogło też chodźć jedynie o podwiezienie. „To, że strzelali potem w opony, także nie świadczy o złych zamiarach. Najłatwiej w ten sposób skłonić szofera, aby się zatrzymał, gdy przyjazne machanie rękami nie odnosi skutku” – pisał.

Już na miejscu skierowali się do wojennego komendanta powiatu, starszego lejtnanta pachnącego eterem i lypiącego na nich jednym okiem – drugie miał szklane. Od razu zapytali o książki, które kilka miesięcy temu trafiły do Görbitsch. Od jednego z jego ludzi usłyszeli, że tak, książki były, ale rosyjskie i już zostały wywiezione, bo do pałacu musiał się wprowadzić szpital polowy. Bohdan, a pewnie i jego towarzysze, poczuł, że poniósł klęskę. Zdecydował się jednak pojechać tam, żeby samemu się przekonać, że trop otrzymany od kolejarzy w Warszawie był mylny.

Szybko dotarli do pałacu. I tutaj relacja Korzeniewskiego, dotąd zachwycająca, płynąca lekko, ale jednocześnie szukająca głębi myśli i operująca gęsto ironią, staje się boleśnie precyzyjna. Pojedyncze rozsypane kartki leżały już na podjeździe. Wewnątrz budynku było ich więcej. Niemal od razu w oczy rzuciły się znajdujące na nich zdobne złoczenia i tłoczenia okładek. Oznaczenia na nich nieomal krzyczały do nich, że to są poszukiwane przez nich zbiory z warszawskich bibliotek.

Każdy krok w głąb pałacu odślaniał nową scenę dramatu, który rozegrał się tutaj kilka tygodni wcześniej. Gdy znaleźli się w oranżerii, dostrzegli, że podłoga jest pokryta skorupą z wymieszanego papieru oraz ludzkich odchodów. Krótkie oględziny wystarczyły, aby stwierdzić, że to tutaj złożono najcenniejsze okazy.

„Poruszenie zbitego pokładu papieru, okładek, desek z rozbitych skrzyń, sznurków, nawozu odkrywało prawdziwe skarby. Przypominał niemal złożę archeologiczne, w którym jakaś katastrofa żywiołowa skotłowała wszystkie warstwy. Listy kanclerza Jana Zamojskiego do króla Zygmunta Augusta z resztkami pokruszonych pieczęci mieszały się z numerami «Biuletynu Informacyjnego» i «Rzeczypospolitej», rękopisy dziewiętnastowiecznych poetów wtłoczone były butami w pozłacane okładki książek francuskich, łacińskich, włoskich, rosyjskich...”

W pozostałych pomieszczeniach i za pałacem, na trawie, między drzewami, było podobnie. Gdziekolwiek natykali się na całe usypiska, w innych miejscach papier układał się w ścieżki.

Niektóre prowadziły do latryn, gdzie odnajdywali kolejne stosy. Korzeniewski z Jabłońskim patrzyli na siebie bez słowa.

Pociąg

„Szefie!” – usłyszeli nagle. „Są książki. Całe góry książek! Chodź pan i sam zobacz, że nie kłamię!” – to krzyczał jeden z ich konwojentów. Pędem ruszyli za nim, aż na strych stajni. Tam pod ścianami dostrzegli kolejne stosy. Ale tym razem książki nie były zniszczone. Ktoś je wysypał ze skrzyń i worków. Szybko się upewnili, że to również są zbiory z Warszawy. Korzeniewski ocenił, że były tam ze trzy wagony. Połowa tego, co szukali. Znaleźli jednak coś jeszcze – prywatne archiwum Hansa Franka, przywiezione tu z Berlina.

Bohdan z zaciekawieniem zaczął je przeglądać. Co chwila natykał się w prywatnych papierach generalnego gubernatora – część z nich to były teksty przemówień wygłaszanych na posiedzeniach rządu Generalnego Gubernatorstwa – na frazy dotyczące fizycznej eliminacji Polaków. W jednym miejscu Frank pisał: „dlatego wszystko, co odnosi się do polskich sił kierowniczych, musi być stale unicestwiane z bezwzględna energią”, a w innym przekonywał, że nie trzeba z tego robić przedstawienia, że może się to dziać po cichu. Przekonywał, że wszyscy, mężczyźni i kobiety, powinni posiadać sprawność w strzelaniu. To, że świadectwa kulturowej tożsamości ofiary oraz dowody zbrodniczych planów jej kata leżały zebrane w jednym miejscu, było złośliwością Historii w czystej postaci.

Nie mieli jednak czasu na zapoznanie się z całym zbiorem po Franku ani na dokładne przejrzanie jego warszawskiego łupu. Wpierw trzeba było to zabrać. Od razu więc pojechali na stację kolejową. Jeszcze przed wyjazdem otrzymali w Warszawie przydział na sześć wagonów. Ale papier to jedno, a rzeczywistość, szczególnie ta wojenna, drugie. Zamiast transportu dostali więc od polskiego kolejarza magazyn, do którego mogli zwieźć swój „ładunek”. Zawsze był to krok do przodu.

Na głowie mieli jeszcze jeden problem – jak przewieźć na stację zawartość trzech wagonów? Było ich tylko pięciu. Bez pomocy zajęłoby im to całą wieczność, a oni nie mieli tyle czasu. Każdy dzień zwłoki nie tylko powodował dalszą degradację papieru, często mającego kilkakrotnie lat, ale również zwiększał ryzyko, że dojdzie do sytuacji, w której nie będą w stanie obronić książek i rękopisów.

Któregoś dnia na stację przyjechał transport z sowieckimi żołnierzami. Po wyjściu na peron ruszyli do magazynu, żeby sprawdzić, co tam znajdują. Na widok książek ucieszyli się – każda z książek była źródłem papieru potrzebnego do skręcania papierosów. Przed rozgrabieniem zbiorów polską ekipę uratował 50-letni sierżant, Tatar. Już gdy szedł, było widać, że żołnierze darzą go niemal nabożnym szacunkiem. Wystarczyło krótkie jego przemówienie do nich, żeby nie tylko oddali książki, lecz również przeprosili.

Książki z zabudowań pałacowych do magazynu przenieśli Niemcy. Do pracy najchętniej garnęły się kobiety – była

to szansa na ochronienie się przed żołnierzami – ale również mężczyźni zatrudniali się do pomocy. Korzeniewski przyjmował każdą grupę tylko na dwie godziny. Dzięki temu unikał konieczności karmienia ich. Pomijając jego chęć czy niechęć do tego, to i tak nie miałby czym.

W końcu wszystko było gotowe. Potrzebne były jeszcze tylko albo aż wagony. „Komendant stacji Bottschow, bardzo wysoki młody człowiek ze śmiejącymi się, sprytnymi oczami w szerokiej twarzy, z kosmykiem włosów wystających spod czapki, przyjął mnie z koleżeńską familiarnością” – zapamiętał Bohdan. Na widok zaświadczeń, pism i pozwoleń komendant tylko się zaśmiał. Wyjaśnił petentowi, że takich jak on jest mnóstwo i każdy ma potrzebę przewiezienia czegoś, a dla niego priorytetem są maszyny rolnicze i paczki dla rodzin żołnierzy. Nie bez racji dodał: „Przejeżdżałem przez Warszawę. Nie ma tam tylu ludzi, żeby zaraz powstały kolejki do bibliotek. Książki mogą poczekać!”

Rozmowa przybrała inny obrót, gdy Korzeniewski wspomnił o wódce. Zaproponował uczciwy układ – litr za wagon. A że potrzebował czterech, to – zaklinając się na Boga – obiecał cztery butelki. „Boga u nas po rewolucji skasowali i nie używa się go już jako fabrycznej gwarancji. Nie wierzę” – odpowiedział Rosjanin. W końcu jednak zauszał Polakowi. Jeszcze tego samego wieczoru wagony się znalazły, a nawet okazało się, że można je podłączyć pod specjalny, sztabowy transport, który do Warszawy dojedzie w 10 godzin. I tylko Józef kręcił głową z niezadowolenia, że uczony, niby taki mądry, a oddał cztery butelki za państwowe wagony. Niewielka była to jednak cena za odzyskanie przynajmniej niezniszczonych części królewskich rękopisów.

Finalnie do Warszawy pojechały dwa wagony. Korzeniewski przeliczył się przy szacowaniu objętości znaleziska. Z tego, co wyjechało, brakowało więc czterech. Część uległa zniszczeniu w pałacu i jego okolicach. Co z resztą?

Według lokalnych opowieści zimą 1945 r. do majątku przyjechała kolumna niemieckich pojazdów wojskowych. Gdy próbowały przejechać po zamrożonym jeziorze, lód się pod nimi załamał i kilka wozów pancernych utonęło. Czy wiozły łup z Warszawy? Nie wiadomo, ale trudno wykluczyć, że zrabowane zbiory biblioteczne, opowieści o minionej Polsce, zaległy na dnie jeziora Kręcko. W każdym razie nigdy ich nie odnaleziono.

Pomost do kultury

Earle Havens, badacz historii książek, związany m.in. z Johns Hopkins University w Baltimore, mówił w wywiadzie udzielonym w 2014 r. „Tygodnikowi Powszechnemu”, że pismo jest pomostem prowadzącym do źródeł kultury. Pytał wtedy sam siebie „Dlaczego mielibyśmy się opiekować papierowymi przedmiotami? Otóż dlatego, że to spoiwa między nami a przeszłością. Tracimy bliskich, tracimy domy, całe miasta, cywilizacje, ale ich ślady pozostają w książkach. Przeszłość ocalała – nie zapominajmy o tym! – przede wszystkim na zapisanych lub zadrukowanych kartkach papieru!” ©

Idee

Sprawa wyobraźni

Baliśmy się, że AI stanie się samoświadoma, wymknie się spod kontroli i będzie nami rządzić. Nie spodziewaliśmy się, że zacznie pisać wiersze

Sebastian

Stodolak

Krytyków sztucznej inteligencji najłatwiej znaleźć pośród artystów. Amerykańska aktorka i pisarka Justine Bateman nazwała AI „jednym z najgorszych pomysłów, na jaki wpadło społeczeństwo”, który „zniszczy ludzi, zanim zrobi to bomba atomowa”. Szkocki pisarz Ewan Morrison (autor „Dla Emmy”) uważa, że AI to po prostu „produkt oszalałych kapitalistów”. Niektórzy artyści pozywają nawet twórców sztucznej inteligencji do sądu o naruszenie praw autorskich. Mowa o tak prominentnych artystach jak George R. R. Martin, którego saga „Pieśń Lodu i Ognia” zainspirowała serial „Gra o tron”, czy autor thrillerów John Grisham. Osobom tym nie sposób odmówić inteligencji, wnikliwości i wiedzy. Ich obawy zatem warto wziąć na serio, pamiętając jednak o tym, że strach przed AI w sztuce może zwiększać to, że ludzkość została wzięta z zaskoczenia.

Niespodziewany zwrot akcji

Popkulturowe wyobrażenia o AI zwykle nie uwzględniały twórczości artystycznej, koncentrując się raczej na potęgze obliczeniowej superkomputerów. Symbolem tego trendu jest choćby komputer HAL 9000 z „2001: Odysei kosmicznej” Arthura C. Clarke’a, która to maszyna chciała uśmiercić załogę

statku kosmicznego w wyniku błędnej kalkulacji i sprzecznych poleceń, a nie własnej spaczanej fantazji. Albo Mike, komputer rewolucjonista, przewodził buntowi księżycowej kolonii w powieści „Luna to surowa pani” Roberta A. Heinleina.

W tym technokratycznym dyskursie twórczość artystyczna była traktowana jako bezpieczna przystań i ostatni bastion człowieczeństwa, którego algorytmy nigdy nie miały prawa zdobyć. Mogła zniknąć wraz z ostatnim człowiekiem, ale maszyny nie mogły jej za-właszczyć.

Jak na ironię, rozwój AI przyjął w wielu aspektach przeciwny kierunek. Z jednej strony współczesne modele językowe generują w kilka sekund kliwów sonet w stylu Petrarke, w kilkanaście sekund obraz przypominający dzieła Salvadora Dalego, a w kilka minut krótkie, nieustępujące jakości produkcjom Marvela filmy akcji. Potrafią się za to pomylić w prostym mnożeniu i bez wahania zmyślać.

Mimo wszystko te nieliczne dzieła s.f., które o ów wątek zahaczały, w kontekście AI i twórczości artystycznej zawierały wyjątkowo interesujące intuicje. Gigant science fiction Stanisław Lem w powieści „Cyberiada” opisywał Elektrybałt, maszynę do pisania wierszy. Miała ona nie tylko zdolność posługiwania się językiem, lecz także wiedzę historyczną i kulturową służącą za niezbędny kontekst twórczy (idea niezwykle bliska funkcjonowaniu dużych modeli językowych w stylu ChatGPT). AI jawi się w wizji Lema jako zdolna do od-

twarzania zewnętrznych cech sztuki w sposób nierzadko formalnie bardziej zaawansowany niż twórczość człowieka. Lem przewidział, że wywoła to protesty. Ludzcy twórcy obrzucają w powieści dom konstruktora maszyny kamieniami, a wśród poetów szerzy się rozpacz.

Czy słusznie? W opowiadaniu „EPICAC” z 1950 r. Kurt Vonnegut zastanawiał się, czy sztuka AI ma egzystencjalne jądro. Czy superkomputer potrafi pisać poezję miłosną, czy może będzie ona zaledwie „miłosna”, bo maszyna nie ma ja, które mogłoby kochać i cierpieć? W opowiadaniu zakochuje się, cierpi i popełnia samobójstwo, gdy dowiaduje się, że obiekt westchnień nie może jej pokochać. Są w literaturze s.f. także inne wizje osadzone w przekonaniu o możliwości istnienia samoświadomej sztucznej inteligencji – a przecież samoświadomość jest warunkiem bólu egzystencjalnego, który przeszywał EPICAC. I z takiego bólu rodzi się właśnie sztuka autentyczna. To dlatego Isaac Asimov w „Człowieku dwustulecia” uczynił akt tworzenia progiem podmiotowości. W jego wizji robot, który zaczyna rzeźbić, wkrótce zaczyna się domagać uznania za człowieka. Natomiast w powieściach Williama Gibsona, twórcy cyberpunku w literaturze, maszyny są w stanie tworzyć sztukę własną, odcieraną od antropocentrycznego wymiaru, dla samych siebie.

Zastrzeżenia współczesnych twórców rzadko opierają się na założeniu, że AI stanie się ich niepokonanym konkurentem ze względu na uzyskanie samoświadomości. Krytykują oni AI ra-

czej za to, że choć (samo)świadoma być nie może, to dzięki symulowaniu tej cechy może wprowadzać odbiorców w błąd. Piosenkarz Nick Cave przekonuje – właściwie jak Vonnegut – że istotą sztuki jest przeżywanie, a przecież AI nie boli skaleczony palec, nie jest rozczarowana zachowaniem swojego dziecka ani obrażona na swojego partnera za to, że nie pamiętał o jej urodzinach. Ponadto nie ma własnej woli. Nie może się jej zachcieć napisać i zaśpiewać piosenkę. Nie może poczuć, że akurat ta jej obserwacja jest warta przelania na papier. Jej poezja, muzyka, proza, film są po prostu istotowo puste, nawet jeśli sprawiają przeciwne wrażenie. To dlatego właśnie reżyser Guillermo del Toro zadeklarował, że wolałby umrzeć, niż użyć AI w swojej pracy.

Wyjście poza tekst

Ten romantyczny w swej istocie zarzut jest trafny. AI naprawdę nie doświadcza i nie może doświadczać, pozbawiona jest też intencji, a w efekcie nie może być z nami szczerą w egzystencjalnym rozumieniu. Że to oczywiste i niepotrzebnie to powtarzam? Izabela Lipińska na łamach DGP wielokrotnie wskazywała, że nie jest to oczywiste dla wszystkich. AI rozmawia z nami, używając języka sugerującego posiadanie przeżyć i własnego oglądu spraw, a tym samym – czy

FOT. DAVID PARRY/PA IMAGES/FORUM



Ai-Da, ultrarealistyczna artystka-robot, na otwarciu wystawy w Muzeum Designu w Londynie. 8 maja 2021 r.

TECHNOLOGIA

nam się to podoba, czy nie – wprowadza nasz umysł w błąd. Z jednej strony wiemy, że rozmawiamy z maszyną, ale z drugiej – nasz umysł może reagować tak, jakby rozmawiał z człowiekiem.

Sztuczna inteligencja to w istocie Inteligencja Ograniczona, co ma ogromne znaczenie dla adekwatności tego, co ona produkuje. W tym ograniczeniu leży nadzieja artystów na zachowanie swojej wyjątkowości.

Wyobraźmy sobie AI, którą nakarmiono wyłącznie tekstami opartymi na założeniu, że nie ma grawitacji. To jej cała „wiedza” o świecie. Jeśli podsunie jej w pewnym momencie jeden artykuł twierdzący, że grawitacja istnieje, to odrzuci go, bo przeciwko jednemu świadectwu w jej bazie stoi tysiąc innych. Maszyna nie ma jak sprawdzić, czy ta większość nie jest fałszywa, bo jedyne, co zna, to kolejne zdania. Człowiek natomiast ma coś, czego nie ma ona – wyjście poza tekst. Może wierzyć, że grawitacja nie istnieje, aż do chwili, gdy potknie się i wyrznie głową o ziemię. Człowiek jest po prostu korygowany przez rzeczywistość, bo jest w tej rzeczywistości zmysłami i odczuwaniem osadzony do tego stopnia, że mylny o niej sąd może kosztować go życie.

Ta różnica – w zakorzenieniu w rzeczywistości – stanowi o tym, że sztuka będąca w całości produktem odpowiednio „spromptowanej” AI nie może być oryginalna i nie wytyczy nowego trendu w malarstwie albo w muzyce. Oryginalność w sztuce jest rezultatem silnie fizycznego procesu odkrywania połączonego z refleksją – odpowiedzią na przypadkowe skojarzenia pojawiające się w wyniku prozaicznych zdarzeń. Przykład? W 1913 r. Marcel Duchamp, przebywając w swoim studio, bez szczególnego planu zamocował koło rowerowe na kuchennym stołku. Jak później wspominał, lubił obserwować obracające się koło, traktując je jako rodzaj wizualnej rozrywki. Z czasem to prozaiczne zestawienie i doświadczenie ruchu skłoniły go do refleksji nad statusem przedmiotu w sztuce i w końcu redefinicji pojęcia dzieła sztuki jako koncepcji ready-made, w której prozaiczny przedmiot może się stać dziełem sztuki przez sam wybór artysty. AI, pozbawiona zmysłowego i świadomego zakorzenienia w materii, nie robi spontanicznych rzeczy dla własnej – nonsensownej w istocie – rozrywki, i przez to nie odkrywa nowych sensów i form.

Owszem, istnieją multimodalne modele AI uzupełniane sygnałami sensorów spoza tekstu, ale sensory te nie obejmują pełni rzeczywistości ani nie dadzą im czucia i świadomości, a więc nie stworzą bodźca do oryginalności. Brak oryginalności oznacza to, na co zwróciła uwagę cytowana już Justine Bateman – nudę. Co, jeśli scedujemy na AI każdą aktywność wymagającą od nas kreatywnego wysiłku, w tym np. pisanie e-maili? Utoniemy w banale. A może AI jest w stanie wygenerować coś oryginalnego przez przypadek? Czy jednak sama oryginalność dzieła rozumiana jako coś, czego wcześniej nie było, jest oryginalnością prawdziwą (taką, która ma znaczenie dla odbiorcy)? Czy może pozostaje tylko oryginalnością techniczną?

Autentyczność, ale tańsza

Justine Bateman jest przekonana, że w dłuższym okresie większość z nas uzna twórczość AI za nudną, zasadniczo pustą i płaską. Nie najesz się watą o smaku, zapachu i strukturze kotleta schabowego. Owszem, kolejne odsłony „twórczości AI”, nadchodzące z coraz bardziej zaawansowanymi modelami, będą przedmiotem zachwytu, ale będzie on krótkotrwały. Z jednym bardzo istotnym zastrzeżeniem: mówimy o sztuce w całości wygenerowanej przez komputer. Gdy wpisujesz komendę „Napisz mi wiersz o kocie trzynastogłoskowcem” i masz taki wiersz albo „Napisz piosenkę miłosną dla Andżeliki” i dostajesz piosenkę miłosną, to nie wnosisz aktywnego i kreatywnego wkładu ze swojej strony. Jedyne, czego maszyna może ci wówczas dostarczyć, to mniej lub bardziej zmyślnej, ale w istocie wtórnej hybrydy utkanej z dzieł ludzi. Co innego, jeśli traktujesz AI jako element procesu twórczego – narzędzie, które może go usprawnić, zainspirować, rozszerzyć czy udoskonalić. Wówczas to ty pozostajesz twórcą, ale dysponującym najbardziej wydajnym i jednocześnie najtańszym pomocnikiem w historii. Wówczas oryginalność jest możliwa, bo ty jesteś jej źródłem.

Prawdziwą zmianą, którą sztuczna inteligencja już teraz wnosi w proces twórczy, jest obniżka jego kosztu, a nie jego przejęcie. To zresztą zawsze była cecha nowych technologii. Sceny filmowe kręcone z lotu ptaka kosztują dzisiaj ułamek tego, ile kosztowały, gdy zamiast dronów trzeba było wynajmować helikoptery. Elityści nie lubią słowa „demokratyzacja” w sztuce, ale technologie właśnie ku niej prowadzą. Dzięki AI reżyserem filmów akcji może zostać ambitny Jurek z Pcimia Dolnego, choć nie było mu dane urodzić się we właściwej rodzinie.

Profesor Krzysztof Pietroszek, programista i filmowiec, wykładowca Wydziału Sztuk Filmowych i Medialnych American University w Waszyngtonie, sam wykorzystuje AI do produkcji historycznych seriali dokumentalnych. Na swoim LinkedIn pisze z rozbrajającą szczerością: „(...) najbardziej lubię pracować z agentami AI przy produkcji, gdzie to ja dowodzę. To bardzo podobne do pracy z prawdziwą ekipą filmową. Najpierw rozmawiasz ze scenarzystą AI, potem z operatorem kamery AI, potem ze scenografem AI. Staraj się zrozumieć, czego chcesz, i robisz to poprzez interakcje i rozmowy. Koszt tych rozmów to mój czas plus 50 dol. zamiast konieczności walki o dotację w wysokości 50 tys. dol. Czy wolałbym pracować z ludzkimi artystami? Oczywiście, ale nie stać mnie!”.

Podobną rolę AI zaczyna zresztą odgrywać w twórczości muzycznej – zastępuje mianowicie producenta. Standardowy proces twórczy można podzielić na cztery etapy: kompozycję, aranżację, nagranie i obróbkę (mix i mastering). W przypadku wielu artystów w procesie tym bierze udział producent, czyli osoba niejako patrząca na wszystko z boku i oceniająca, czy sprawy idą we właściwym kierunku. Może ona uznać, że da-

ny utwór w ogóle nie nadaje się na płytę albo że należy go skrócić, albo że brzmienie gitar jest irytujące i należy je zmienić. Taka osoba może być sama muzykiem, ale nie musi. Rick Rubin grać na niczym zbyt dobrze nie potrafi, ale ma tak rozwiniętą intuicję muzyczną, że na pracę z nim zdecydowali się artyści tacy jak m.in. Adele, Beastie Boys, Aerosmith, The Cult czy Slayer. Stawki, które dyktuje Rubin, idą w setki tysięcy dolarów. Garażowy artysta nie może nawet o tym marzyć. Tu właśnie pojawia się AI. Dzięki niej za kilkaset złotych rocznie w ramach procesu twórczego może on eksperymentować z własnymi kompozycjami: testować brzmienie (cięższe gitary czy może tylko lekkie przesterowanie?), aranżacje (a jak zabrzmiałyby tu smyczki), zmiany tonacji (a gdyby całą kompozycję przenieść o ton wyżej?). AI pozwala mu stać się w pewnym sensie własnym producentem, rozszerzając jego perspektywę na potencjał własnej twórczości.

Czy to zła wiadomość dla Rubinów tego świata? Niekoniecznie. Każdy zdrowy na umyśle muzyk wybrałby Rubiną albo np. Quincy Jonesa. Problem mieć będą jednak producenci przeciętni. Tych AI faktycznie może zastąpić. I to dotyczy także innych kreatywnych profesjonalistów. No, chyba że sami nauczą się korzystać ze sztucznej inteligencji. Do tego jednak potrzeba... wyobraźni.

Brak wyobraźni

Olga Tokarczuk tę wyobraźnię bezsprzecznie ma. Dziesiątki tysięcy ludzi ją podziwiają, inni nie, ale sztuka to materia subiektywna. Na tegorocznej konferencji Impact w Poznaniu noblistka oświadczyła, że AI może wspierać kreatywność pisarza i że sama z takiego wsparcia (w wąskim, researchowym zakresie) korzysta. Mówiła: „Wbrew obawom uważam, że my, pisarze, z uwagi na specyfikę naszego rzemiosła, najszybciej i najściślej zwąchamy się z narzędziami pokroju AI. Nasze głowy, umysły literackie działają w zupełnie inny sposób; ich praca opiera się na szerokim, bardzo rozległym obwodowym i asocjacyjnym kojarzeniu faktów, co skrajnie różni się od wąskiego, bardzo ukierunkowanego tunelowego myślenia akademików”. Posypały się na nią za te wyznania gromy, których autorów z nazwiska nie wymienię – z lietości. Puryści orzekli, że lepiej od twórcy wiedzą, jak tworzyć. Nie dostrzegają, że AI może uwolnić ludzką kreatywność w kierunkach, których dotąd nie miała zupełnie szansy się rozwinąć, albo wręcz może pozwolić ludziom na odkrycie kierunków dotąd nieznanych. To znów dość znany efekt nowych technologii w sztuce. Weźmy aparat fotograficzny i malarstwo. Dzięki fotografii mogły się pojawić takie nurty malarstwa, jak: impresjonizm, postimpresjonizm czy ekspresjonizm. Nie rywalizowały już z aparatem o wierne odwzorowanie świata, lecz szukały innych sposobów jego ujmowania – przez światło, kolor, emocję i subiektywne doświadczenie.

Dzięki ludzkiej kreatywności AI już dzisiaj otwiera przestrzeń dla podobnego rozwoju wypadków. W projekcie

„Living Archive”, stworzonym przez inżynierów Google’a we współpracy z wybitnym brytyjskim choreografem Wayne’em McGregorem, algorytm przeanalizował 25 lat pracy artysty oraz ruchy jego tancerzy, a następnie pod jego nadzorem zaczął generować unikalne sekwencje choreograficzne. Technologia nie służyła tu do prostego generowania gotowego obrazu czy automatyzacji pracy, lecz tworzyła nowy język ruchu, przy tym to wciąż człowiek był źródłem pomysłu i to człowiek dostarczał materiał wyjściowy. Model rozwijał go w często trudnych do intuicyjnego wymyślenia kierunkach, przełamując ograniczenia ludzkiej pamięci mięśniowej.

Prawdziwym zagrożeniem dla ludzkiej twórczości jest strach przed AI, który prowadziłby do sparaliżowania użycia jej w procesie kreatywnym, a więc pozbawiłby sztukę niezwyklego narzędzia. Mogłoby się tak stać np., gdyby w odpowiedzi na zarzuty, że AI okrada artystów, całkowicie zakazano karmienia modeli językowych dziełami sztuki albo wprowadzono wygórowane od tego opłaty. Argument o kradzieży jest dość słaby. Jeśli AI okrada twórców, bo korzysta z ich dzieł, to kradną także ludzcy twórcy, bo przecież oni też przetwarzają – często nieświadomie – teksty kultury, które poznali. Poza tym, czy naprawdę odpowiedź na prompt „Wygeneruj mi sonet w stylu Petrarki” należałaby do Petrarki, gdyby żył? Jeśli skomponuję utwór w stylu Aerosmith, to powinienem odpalać tantiemy Stevenowi Tylerowi i Joemu Perry’emu? Zdaje się, że wyłącznie wtedy, gdy wkleję weń refren „Love in an Elevator”, czyli gdy przejdę od inspiracji do bezpośredniego cytatu. Tylko że AI rzadko cytuje dokładnie dzieła, z których korzysta...

Kradzieżą nie wydaje się też samo karmienie modelu danymi treściami, bo wówczas kradzieżą byłoby słuchanie Aerosmith przez kompozytorów. Krytyk wskaże skalę i wpływ na rynek twórcy. Są też kryteria, które ważą sądy, rozstrzygając oskarżenia o plagiat, ale intuicja, że uczenie się z cudzych dzieł nie jest kradzieżą, nie znika tylko dlatego, że dzieje się masowo.

W istocie zdaje się, że istnieje co najmniej jeden pewny wypadek, w którym użycie AI w twórczości to poważne nadużycie. Dochodzi do niego, gdy zlecamy AI stworzenie czegoś całkowicie za nas, wyłącznie na bazie promptu, a potem wprowadzamy odbiorcę w błąd, że to nasze dzieło. Jest coś głęboko nieuczciwego w przekonaniu ukochanej, że napisało się dla niej wiersz, gdy nie umie się nawet skleić zdania, albo zaśpiewało czysto arię operowym głosem, gdy słoń nam na ucho nadepnął. Tylko jak z taką nieuczciwością walczyć? ©



Sebastian

Stodolak

wiceprezes Warsaw Enterprise Institute

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Kultura

Impreza z okazji 70. rocznicy
oddania do użytku
Pałacu Kultury i Nauki.
Warszawa, 22 lipca 2025 r.



FOT. WOJCIECH KRYŃSKI/FORUM

instytucje kultury. W roli gospodarzy wystąpili: władze miasta, Centrum Kultury 105 oraz Muzeum w Koszalinie. I to oni wybrali i zaprosili gości. Jakie kryteria zadecydowały? – Organizatorzy nie prowadzili formalnego głosowania związanego z wyborem wykonawców. Opinie i oczekiwania publiczności są jednak analizowane m.in. na podstawie doświadczeń z poprzednich edycji wydarzenia, frekwencji oraz sygnałów napływających od ich uczestników – dowiaduję się od Anny Makarewicz, rzeczniczki prasowej Urzędu Miejskiego w Koszalinie.

O programie zabawy w Głogowie (IV Festiwalu Nadodrzańskiego w dniach 29–31 maja) decydował prezydent miasta w porozumieniu z Miejskim Ośrodkiem Kultury i po zasięgnięciu opinii Młodzieżowej Rady Miasta. Rada przeprowadza ankietę wśród młodych mieszkańców i ten głos jest uwzględniany. – Oczywiście przy wyborze wykonawców stosowane są kryteria popularności artysty, jego dostępności w danym terminie oraz kryterium finansowe związane z realizacją koncertu – informuje Daria Jęczmionka, inspektor Urzędu Miejskiego w Głogowie.

Do świętowania szykują się m.in. Chełm (początek lipca) i Ostróda (przełom lipca i sierpnia). W Chełmie głos decydujący zabiera urząd miasta, a artystów wybiera spośród propozycji przedstawionych przez Chełmski Dom Kultury. Decyzje są konsultowane z mieszkańcami m.in. w serwisach społecznościowych. W Ostródzie jest podobnie – o obsadzie miejskiej imprezy decyduje główny organizator, czyli miejscowe centrum kultury, a oddolne sugestie można wyrażać przez cały rok w komentarzach na Facebooku. – Główne kryteria wyboru artystów to: cena, wolne terminy, wysoka jakość artystyczna – zapewnia Paweł Krupiński, inspektor ds. promocji i rozwoju turystyki z Urzędu Miejskiego w Ostródzie.

Droga darmowa rozrywka

Panuje opinia, że wartość wykonawcy poznaje się po liczbie sprzedanych biletów. Co innego popularność – ona wystarcza, żeby być zatrudnianym na niebiletowanych imprezach, za które płacą samorządowcy z kieszeni podatników

Konrad

Wojciechowski

To miały być huczne obchody urodziny. Zespół Perfect, z nowym wokalistą Łukaszem Drapałą, zamierzał z przytupem uczcić swoje 45-lecie. Na wrzesień–październik 2026 r. zaplanowano 10 halowych koncertów w dużych miastach (m.in. w Łodzi, Gdyni, we Wrocławiu, w Rzeszowie i Warszawie). Bilety od ok. 150 zł, najdroższe po 265 zł. Informację o trasie „Kochaj mnie. 45 lat na świecie” ogłoszono jesienią zeszłego roku, ale w maju fani przeczytali smutną wiadomość, że trasa – poza jedynym występem w warszawskiej Stodole – została odwołana. Posiadacze biletów na pozostałe koncerty otrzymają zwrot pieniędzy.

Trasę anulowano z powodu... braku czasu. Zespół tłumaczył się pracą nad nowymi piosenkami i intensywnym latem

koncertowym. Faktycznie, od początku maja do końca wakacji Perfect zaplanował ok. 40 koncertów w całej Polsce.

Oficjalny powód odwołania urodzin nie przekonał wszystkich. Co ma do rzeczy letnie zapracowanie, skoro jubileusz miał się odbyć jesienią? Może ludzie nie chcą kupować biletów na koncerty Perfectu z nowym wokalistą, a zespół przekalkulował, że wakacyjny tour po świętach różnych miast jest lepszą okazją do zarobienia pieniędzy? – snuli domysły internauci.

Kto ma prawo głosu

Lato jeszcze dobrze się nie zaczęło, a koncerty pod chmurką przyciągają coraz więcej mieszkańców miast. Sezon zwykle startuje w maju, bo to czas juwenaliów, na których goszczą popularne

zespoły, nie tylko – jak Kult czy T. Love – mocno kojarzone z kulturą alternatywną czy studencką.

W maju ruszają też święta miast, którym towarzyszą zwykle huczne imprezy plenerowe. Przez cały sezon artyści jeżdżą z miasta do miasta i bawią publiczność. Tegoroczne świętowanie mają już za sobą m.in. Police, Ostrołęka, Głogów, a także Koszalin. W tym ostatnim fetowano właśnie 760-lecie miasta. Zabawa trwała cztery dni. Zagrała orkiestra symfoniczna, przyjechali raperzy, odbył się też koncert muzyki filmowej, a mieszkańcy zatańczyli poloneza i przystąpili do próby bicia rekordu tańca na 760 par. Nie zabrakło gwiazd polskiej piosenki – Krzysztofa Zalewskiego, Moniki Brodki i Katarzyny Nosowskiej.

W zorganizowaniu czterodniowej imprezy pomagało kilka miejskich spółek, państwowe przedsiębiorstwa oraz

Poczekam na bezpłatne

Darmowe koncerty plenerowe cieszą i publiczność, i artystów. Mieszkańcy są zachwyceni – mają się gdzie wybrać z rodziną lub znajomymi i miło spędzić czas; czasami to jedyna okazja, aby zobaczyć na żywo znanego wykonawcę, który w przeciwnym razie nie przyjechałby na piknik do ich małej miejscowości. No i najważniejsze – nie trzeba płacić za bilet, bo imprezę funduje miasto.

Artysty zarabiają, ale też narzekają, że darmowe imprezy rozleniwiają coraz bardziej roszczeniowych odbiorców, ponieważ widz przyzwyczajony do bezpłatnej rozrywki niechętnie wybiera się potem na biletowany koncert. Woli poczekać do kolejnych wakacji na przyjazd zespołu, na który może by się i pofatygował do klubu, ale wystarczy poczekać rok, góra dwa lata, a kapela i tak wystąpi w plenerze. To narzekanie wykonawców nie brzmi do końca szczerze. Zwłaszcza tych o twarzach „brzmiących znajomo” z radia i telewizji, bo akurat oni mają wzięcie – są zajęci graniem przez całe wakacje, a darmowe dla fanów imprezy przynoszą idolom pieniądze. I to niemałe. Za koncert w klubie tyle by nie dostali. Wprawdzie muszą się liczyć z tym,

IMPREZY PLENEROWE

że jeśli zdecydują się być wakacyjną, objazdową atrakcją, to wypadną z komercyjnego obiegu i ludzie nie będą płacić za ich posłuchanie. Skoro jednak popyt nie gaśnie od dekad, a samorządy zapraszają i sownie wynagradzają, artyści na to idą.

Nie zawsze tak było. Moda na plenerowe koncerty za friko przyszła w drugiej połowie lat 90., kiedy rozkręcał się kapitalizm i wszyscy chcieli zarabiać. Taki paradoks. Polski przemysł rozrywkowy dopiero łapał oddech po transformacji. Na rynku muzycznym zakwitły nowe gwiazdy piosenki, a powędle ze społy z poprzedniej dekady ze zmiennym szczęściem usiłowały się artystycznie zregenerować. Niektórzy zamknęli działalność, inni zrobili remanent i zrestrukturyzowali skład. W końcu z pomocą przyszły im przede wszystkim prywatne media.

– Na festiwalowej mapie zakwitło wiele inicjatyw, to po pierwsze. Po drugie, pojawiła się Polska samorządowa, a z nią mnóstwo eventów: dni miast, juwenaliów czy lokalnych świąt, bo gminy i powiaty było stać na organizację darmowych imprez, a z powodu „plenerów” koncertowy szal trwał przez cały sezon letni. Za chwilę powstał pomysł gigantycznych tras koncertowych, takich jak piknikowe „Inwazja mocy” czy „La-to z radiem”, co pozwoliło starym zespołom wskoczyć w nowe tryby funkcjonowania na kompletnie nowych zasadach finansowych. Rozwinął się sektor menedżerski, wzrosły stawki koncertowe, obudzono popyt na rock przepakowany w kapitalistyczny entourage – tłumaczy prof. Waldemar Kuligowski, antropolog z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Inwazja darmochy

Imprezy plenerowe pod szyldem „La-to z radiem” wystartowały w 1992 r. Zaproszono czołówkę polskich wykonawców w trasę objazdową po całej Polsce. Muzyka na żywo przyjeżdżała nad morze do turystycznych miejscowości (na Skwer Kościuszki w Gdyni przyszło ok. 100 tys. osób), ale też zapuszczała się w głąb kraju (widzowie wypełnili płytę lotniska w Radomiu).

Pomysł błyskawicznie podłapały prywatne stacje radiowe, które mocno rywalizowały o słuchaczy i uczyniły z wakacyjnych pikników regularny biznes. Latem 1995 r. duża komercyjna rozgłośnia radiowa z Krakowa zorganizowała swoją pierwszą otwartą trasę koncertową – bez biletów. Mowa o stacji RMF FM i „Inwazji mocy”. Na stronie internetowej tyskiego urzędu miasta można znaleźć wpis z sierpnia 1995 r., kiedy w miejscowym parku trwały koncerty, a setki ludzi szukały w okolicach pobliskiego lodowiska czeku na 5 tys. zł (szczęśliwym znalazcą okazał się mieszkaniec Gliwic). W kolejnym roku konwój RMF FM przejechał przez 55 polskich miast. W podróż z radiem zabrali się m.in. Liroy i Dżem, a z zagranicznych gwiazd wystąpiła Tina Turner.

Stołeczne Radio Zet nie chciało być gorsze od konkurentów z Krakowa, toteż w maju 1996 r. zorganizowało „Wielką Majówkę” z Maanamem. Przez trzy weekendy z rządu grupa dała koncer-

ty w dziewięciu miastach. Była muzyka, były konkursy – zwycięzca mógł wygrać kolację z Korą. „Organizatorzy twierdzą, że jest to najdroższa trasa koncertowa w historii polskiego rocka” – relacjonowała prasa. Koncerty obejrzało pół miliona widzów, a budżet wyniósł kilka milionów dolarów. „Tournée pod egidą Radia Zet sponsoruje jedna z dużych firm kosmetycznych oraz producent soków owocowych” – czytamy w archiwalnym wydaniu „Rzeczpospolitej”. Widownia nie zapłaciła ani grosza. Darmową „Majówkę” powtórzone rok później.

Zapytałem Piotra Metza, dziennikarza i wieloletniego dyrektora muzycznego RMF FM, czy nie czuje się współodpowiedzialny za psucie rynku darmowymi koncertami. – Nie było mowy o psuciu rynku, bo tego rynku po prostu nie było – bronił się Metz, kiedy rozmawialiśmy o początkach inwazji darmowej rozrywki. – „Inwazja mocy” zbudowała polski przemysł rozrywkowy. Beatles! w 1964 czy 1965 r. występowali w Anglii w salach na 3 tys. ludzi, a po przyjeździe do Stanów pełniali stadiony. Dzięki nim rynek zaczął rosnąć. I my się z tym wyzwaniem zmierzysmy w drugiej połowie lat 90. „Inwazja mocy” nakręciła popyt na plenerowe koncerty, odniosła sukces frekwencyjny, zbudowała rynek, który zaczął płacić renomowanym artystom dobre pieniądze.

Z punktem widzenia dziennikarza zgadza się artysta znanego zespołu, który zaliczył wiele takich darmowych tras i co wakacje jest muzyczną atrakcją w małych miejscowościach. Jego zespół zyskał finansowo. I nie tylko jego. – Stawki dla artystów poszły w górę – przyznaje muzyk. – Nasza kapela zaczęła świetnie zarabiać. Załamała się jednak równowaga między sprzedażą biletów a honorarium dla muzyków. My zyskaliśmy, ale bardzo stracił rynek imprez biletowanych.

Kupowanie gminnego prestiżu

W ustawie o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej z 1991 r. czytamy, że polega ona na tworzeniu, upowszechnianiu i ochronie kultury. Mecenat nad kulturą sprawują państwo, a także jednostki samorządu terytorialnego, co jest ich podstawowym celem statutowym i obowiązkowym zadaniem. A to oznacza, przynajmniej w teorii, że instytucje do tego powołane – teatry, filharmonie czy domy kultury – są niezależne w tworzeniu programu wydarzeń artystycznych.

– Często decydujący głos ma wójt, burmistrz bądź rada sołectwa. Głównie w kwestii organizacji takich imprez jak dni miast lub dożynki. A tak być nie powinno. Instytucje kultury mają zapewnioną prawem autonomię programową. Rolą samorządu jest jedynie tworzyć takie ośrodki i zapewniać im fundusze na funkcjonowanie, nie ponadto. Praktyka, niestety, pokazuje co innego – uważa Paweł Kamiński, dyrektor Ośrodka Postaw Twórczych „Zamek” we Wrocławiu, samorządowiec, autor bloga MenedżerKultury.pl. Ma kilkunościeletnie doświadczenie w za-

ządzaniu instytucjami kultury i wiele razy przerabiał dobrze znany scenariusz: gminny ośrodek kultury organizował drobne zajęcia dla mieszkańców, a przygotowaniem dożynek zajmował się wydział promocji magistratu. Zwykle na takie imprezy przyjeżdżały gwiazdy disco polo. Czy przynosiło to skutek kulturotwórczy? Zdaniem mojego rozmówcy bynajmniej.

– W małych miejscowościach często jest tak, że na organizację dni miast czy gminy idzie połowa albo i więcej wydatków przeznaczonych na wszystkie działania kulturalne w budżecie danej instytucji. Pewnie większy zysk społeczny byłby, gdyby te 100–200 tys. zł wpompuwać w edukację artystyczną bądź w przygotowanie 10 mniejszych wydarzeń. Ale nie miałoby to takiej mocy dotarcia do potencjalnych wyborców – potwierdza anonimowo jeden z samorządowców.

– Środki publiczne powinny być przeznaczane na dobro publiczne. A oferta programowa powinna uwzględniać rzeczywiste potrzeby mieszkańców na poziomie lokalnym. Ustawa obliuguje samorządowców do budowania wspólnoty oraz kapitału społecznego, co poprawia dobrostan, jakość życia mieszkańców i zasila miejscową gospodarkę. Zapraszanie gwiazd disco polo oraz innych popularnych piosenkarzy i piosenkarek ma z tym niewiele wspólnego. Słyszałem tłumaczenia, że to sposób na promocję gminy, przyciągnięcie nowych mieszkańców i inwestorów. Bzdura. Samorządy przepuszczają całe budżety, często na jedną imprezę w skali roku. Kupują sobie prestiż – surowo ocenia Kamiński. Często pojawia się wręcz twierdzenie, że miejskie spędy przydają się w celach propagandowych, do pozyskania lub ugłaskania elektoratu.

Dni miast poprawiają notowania wójtów czy burmistrzów, ale psują rynek. Kamiński zna nawet przypadki, kiedy biletowana impreza discopolowa nie doszła do skutku, ponieważ się nie sprzedala.

– Popularne marki muzyczne mogą się finansowo posilić na festynach czy piknikach. Korzysta na tym wiele zespołów znanych z lat 80., chociaż występują w mocno przegrupowanych składach, często brakuje założyciela albo ludzi, którzy grali w kapeli od początku. Na imprezach biletowanych organizator potrafi zapytać: „Ilu macie członków z oryginalnego składu?”. Jeśli jednego, to stawka leci w dół albo zespół nie jest angażowany. Podczas dni miast ten problem zwykle nie występuje – twierdzi konferansjer, który zapowiada wielu artystów na wakacyjnych trasach.

Pieniądze lubią ciszę

Na co miasta wydają swoje środki – na kulturę czy rozrywkę? Sprzyjać gustom czy kreują nowe kompetencje? – Każda impreza ma inny charakter – broni się jeden z samorządowców. – Uważam, że odpowiadamy na ewidentne potrzeby społeczne. Ludzie przychodzą, dobrze się bawią, a nam udaje się przemycić na niektórych imprezach coś więcej w ramach upowszechniania kultury. Weźmy np. wianki, które mają folkowy sznyt.

Dyskusje zwykle milkną, kiedy dochodzi do rozmów o pieniądzach. Pie-

niądze to często temat tabu. Cytowany przez portal Prawo.pl Szymon Ossowski z organizacji społecznej Watchdog Polska zwraca uwagę na to, że budżety koncertowe są poza społeczną kontrolą, ponieważ „w większości przypadków można wyliczyć jawność wynagrodzeń artystów” na życzenie wykonawcy.

Faktycznie, część samorządów utajnia wydatki albo podaje łączne kwoty bez wchodzenia w detale. Urząd Miejski w Koszalinie opowiada z przejściem o licznych wysiłkach organizacyjnych, które towarzyszą przygotowaniu miejskiego święta muzycznego. Na koszty składają się: wynajem i obsługa scen, nagłośnienie i oświetlenie, technika i logistyka, zapewnienie ochrony, zabezpieczenie medyczne, działania promocyjne i obsługa organizacyjna. Na przeprowadzenie tegorocznych Dni Koszalina miasto wyasygnowało 1,8 mln zł. Poprosiłem o konkretną sumę na honoraria dla artystów.

– Koszty związane z realizacją programu muzycznego stanowiły część całkowitego budżetu wydarzenia. Ze względu na obowiązujące postanowienia umowne oraz standardy współpracy z wykonawcami i przedsiębiorstwami ich reprezentującymi Centrum Kultury 105 nie publikuje szczegółowych warunków finansowych poszczególnych umów dotyczących występów artystycznych – odpowiada dyplomatycznie rzeczniczka koszalińskiego urzędu.

W Chełmie jeszcze wszystkiego nie policzyli. Zakładają, że koszt tegorocznej imprezy pochłonie około 600 tys. zł (wśród gwiazd pojawiają się Perfect i Paktofonika), ale miasto jest jeszcze na etapie rozstrzygnięcia procedur zakupowych, dlatego estymuje ostrożnie. – Na koszty imprezy, oprócz honorariów za wykonanie koncertów, składają się koszty techniki scenicznej, w tym nagłośnienie, oświetlenie, telebimy itd. Trzeba odprowadzić procent do ZAiKS, zapłacić za realizację imprezy masowej ochronie i obsłudze medycznej, doliczyć noclegi i wyżywienie artystów – wylicza Kacper Jasyk z chełmskiego magistratu.

Więcej szczegółów zdradzają władze Ostródy. Impreza pochłonie w granicach 300–350 tys. zł, z czego na artystów pójdzie 165 tys. zł netto, wliczając w to hotele, technikę, catering, no i ZAiKS. Miasto podaje, że koszt wynagrodzeń za koncert głównej gwiazdy – Renaty Przemek – wyniesie 26,5 tys. zł, do czego trzeba będzie doliczyć pozostałe koszty organizacyjne.

Za występ podczas Dni Głogowa najwyższą gażę otrzymała Agnieszka Chylińska (ok. 100 tys. zł). Niżej na liście płac uplasowali się Golec uOrkiestra (80 tys. zł), Bryska (45 tys. zł), Arka Noego (30 tys. zł) oraz zespół Loka, raper i youtuber Blonsky, a także wokalistka IMI (po 25 tys. zł). A to dopiero początek szafu koncertowego i dobrej (darmowej) zabawy. Ta porządnie rozkręci się w czasie wakacji. ©©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

KOMUNIKAT



WOJEWODA
ŚWIĘTOKRZYSKI

Kielce, dnia 17 czerwca 2026 roku

Znak sprawy: SPN.III.747.7.2026

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 7 ust. 1 pkt 3, ust. 1a i ust. 1b oraz art. 16 ust. 1 w związku z art. 15 ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (t. j. Dz. U. z 2024r., poz. 1199), zwanej dalej specustawą przesyłową oraz art. 49 i art. 61 § 4 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t. j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1691), zwanej dalej Kpa,

WOJEWODA ŚWIĘTOKRZYSKI

zawiadamia, że na wniosek Polskich Sieci Elektroenergetycznych S.A. z siedzibą w Konstancinie – Jeziornie z dnia 25.05.2026 r., znak: FP/1885/2026, uzupełniony pismem z dnia 15.06.2026 r., znak: FP/2609/2026, działających przez pełnomocnika, zostało wszczęte postępowanie w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości położonych w powiecie kieleckim, oznaczonych w ewidencji gruntów i budynków numerami działek:

jednostka ewidencyjna 260414_5 Piekosów Obszar Wiejski

obręb 0011 Micigózd, numer ewidencyjny działki: 3/4 (K11L/00162552/4),

jednostka ewidencyjna 260418_2 Strawczyn

obręb 0009 Promnik, numer ewidencyjny działki: 892/11 (K11L/00104787/6),

w celu przeprowadzenia badań geologicznych (polegających na wykonaniu odwiertów geologicznych) dla strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej dla inwestycji pn. „Rozbudowa stacji 400/220 kV Kielce” realizowanej jako Budowa Mostu Szynowego 220 kV.

Po doręczeniu zawiadomienia o wszczęciu postępowania w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości, zgodnie z art. 7 ust. 4 specustawy przesyłowej, **w przypadku: zbycia własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości bądź przeniesienia wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie ww. decyzji nabywca i zbywca są obowiązani zgłosić do tuł. organu dane nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.**

W myśl art. 49 Kpa po upływie czternastu dni od dnia publicznego ogłoszenia niniejszego obwieszczenia uznaje się, iż nastąpiło doręczenie zawiadomienia w powyższej sprawie. Publiczne ogłoszenie obwieszczenia następuje poprzez: wywieszenie na tablicy ogłoszeń Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, Urzędu Miasta i Gminy Piekosów, Urzędu Gminy Strawczyn a także poprzez zamieszczenie w Biuletynie Informacji Publicznej i na stronie internetowej Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego oraz w prasie o zasięgu ogólnopolskim tj. w „Dzienniku Gazecie Prawnej”.

Zgodnie z art. 10 Kpa Strony mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wydziale Skarbu Państwa i Nieruchomości Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, al. IX Wieków Kielc 3, budynek A, VIII piętro, pok. 810, w poniedziałki w godzinach 11:30 ÷ 17:00, od wtorku do piątku w godzinach: 8:30 ÷ 14:30, ponadto z mapą przedstawiającą określenie granic terenu objętego wnioskiem można zapoznać się na stronie internetowej - Biuletynie Informacji Publicznej Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, w zakładce obwieszczenia oraz w terminie od dnia doręczenia zawiadomienia w sposób określony wyżej, **nie później niż do 7.07.2026 r.**, składać wypowiedzi i zastrzeżenia co do zebranych dowodów i materiałów. **Odpowiedzi na uwagi i zastrzeżenia złożone przez strony w trakcie postępowania administracyjnego, znajdują się w uzasadnieniu decyzji Wojewody Świętokrzyskiego.** Po wyżej wyznaczonym terminie decyzja zostanie wydana w oparciu o zgromadzone w trakcie postępowania materiały.

Wgląd w akta sprawy nie jest obowiązkowy.

Stronami są osoby legitymujące się tytułem prawnym do nieruchomości objętych niniejszym postępowaniem.

AUTOPROMOCJA



PRAWO • PODATKI • BIZNES

12 miesięcy wsparcia dla Twojej firmy

2690 zł

1490 zł

oszczędzasz

45%



dgp.pl/subskrypcja



Po drugiej stronie potłuczonego lustra

Nie ma jednej kobiety średniowiecza.

Jest kalejdoskop odmiennych doświadczeń, sprzecznych pragnień, indywidualnych motywacji i kontrastowych wyborów dokonywanych w różnych epokach, wśród odmiennych okoliczności politycznych, zwyczajów, praw i modeli dziedziczenia

Piotr

Kofta

Czy europejskie średniowiecze pozostaje najmniej zrozumianą epoką historyczną? Gdy spojrzeć od strony stereotypu – pewnie tak. Ale historycy od dawna wiedzą, że świat średniowiecza nie mieści się w schematach, choćby z uwagi na to, że obejmuje tysiąc lat skomplikowanych dziejów zróżnicowanego kontynentu. Historiografia ma więc ze średniowieczem problem innej natury: rzecz w tym, jak w wielkich syntezach porównywać ze sobą to, co nieporównywalne – zestawienie krajobrazu społeczno-politycznego po upadku Rzymu w V stuleciu (niewielu zresztą zauważyło wówczas ten upadek) z wyrafinowaną cywilizacją miejską i handlową wieków XIV czy XV wypada dość absurdalnie. Sens ma raczej mówienie o wielu średniowieczach w zależności od tego, co nas interesuje: historia technologii, nauki, religii, władzy, pieniędzy czy pracy. Albo płci.

Byłbym wszelako niesprawiedliwy dla znakomitej książki Anny Brzezińskiej „Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny. Przewodnik po średniowieczu zwykłych kobiet”, gdybym próbował ją na siłę wetknąć na jakąś konkretną półkę. Brzezińska stosuje metodę znaną z podejścia mikrohistorycznego (weźmy tu jako przykład choćby słynny „Ser i robaki” Carla Ginzburga, odtwarzający dzieje pewnego północnowłoskiego procesu inkwizycyjnego z XVI w.), które zakłada, że niekiedy wgląd w przeszłość przez małe okienko bywa bardziej instruktywny niżli wgląd przez szeroko otwarte wrota; że studium konkretnego przypadku pozwala na głębokie zrozumienie minionych społeczeństw, dostrzeżenie tego, co było w nich odmienne. Nie chodzi bowiem o szukanie podobieństw, ale właśnie o uchwycenie (i zaakceptowanie) logiki odmienności, nawet jeśli ostatecznie i tak dostrzegamy w ludzkich losach rozmaite odwieczne, uniwersalne prawidłowości.

Eseistyczne portrety kobiet

W „Cierplich Genowefach...” mamy więc 50 mikrohistorycznych portretów kobiet – od bezimiennej uczennicy z żeńskiego klasztoru w Essen z IX w., która pragnęła jak najwięcej czytać, po siostrę Mariettę z XV-wiecznego florenckiego konwentu, która zajmowała się zecerstwem (drukarstwo właśnie zaczęło bezpowrotnie zmieniać świat). Te portrety składają się w sumie na książkę solidnych rozmiarów – ponad 500 stron z bibliografią – ale nie ma potrzeby czytania owego tomiścza za jednym zamachem (chyba że was wciągnie, tak jak mnie wciągnęło). W sumie zalecałbym nawet lekturę powolną: dzięki temu można docenić formę, jaką Brzezińska nadała swojej opowieści. Wspomniane portrety nie są suchymi wyliczeniami faktów, lecz literackimi narracjami – niewielkimi esejami skrzyżowanymi z felietonem. Bywają ironiczne, sarkastyczne, zabawne, wzruszające, przerażające. Czuje się tu, że Brzezińska jest zawodową pisarką, zresztą o dużym dorobku – kto czyta dobre fantasy, ten wie. Ale Brzezińska jest również historyczką obdarzoną sporą erudycją i niebanalnym warsztatem popularyzatorskim.

Trzeba pamiętać o tym, że wybór metody mikrohistorycznej podyktowany jest czymś jeszcze: skromnością i fragmentarycznością źródeł. Autorka zbiera kawałki potłuczonego lustra z pełną świadomością, że nie da się go na powrót złożyć w całość. Z różnych powodów. Po pierwsze dlatego, że kobiety rzadko były podmiotami własnej narracji. „Wiedza o przeszłości, zwłaszcza o przeszłości kobiet, pozostaje frustrująca – co niekompletna (...)” – pisze Brzezińska. „Zazwyczaj spoglądamy na nie oczyma mężczyzn, którzy wytworzyli większość średniowiecznych źródeł. Z rzadka tylko [kobiety] przemawiają (...) własnym głosem, a i wówczas nie relacjonują spójnej i pełnej historii”.



FOT. WORLD HISTORY ARCHIVE/BE&W

Pisarka i poetka Christine de Pisan ofiarowuje francuskiej królowej Francji Izabeli Bawarskiej swoją książkę. Około 1405 r.

Po drugie zaś z tej przyczyny, że „nie ma (...) jednej kobiety średniowiecza czy jednej historii do opowiedzenia. Jest kalejdoskop odmiennych doświadczeń, sprzecznych pragnień, indywidualnych motywacji i kontrastowych wyborów dokonywanych przez różne kobiety w różnych epokach i organizmach państwowych, wśród odmiennych okoliczności politycznych, zwyczajów, praw i modeli dziedziczenia. Losy średniowiecznych kobiet określała nie tylko płeć, choć wszystkie były córkami Ewy i wszystkie przygotowywano do roli żony i matki. Może nawet w większym stopniu wpływały na nie pochodzenie, majątek czy pozycja społeczna”.

Równouprawnienie zaczęło się w średniowieczu

Ale w posklejanym lustrze również można się przejrzeć. A może: wejść w nie, niczym Alicja. Rzeczywistość po drugiej stronie będzie osobliwa. Brzezińska pokazuje bowiem, że rozpoczęte w oświeceniu projekty emancypacyjne (ostatecznie zaowocowały one w dużej mierze skuteczną walką o równouprawnienie kobiet i całym teoretycznym oraz praktycznym dorobkiem feminizmu) postulowały rozmaite rozwiązania, które w średniowieczu już znano. To zaciskający się gorset nowoczesności – od reformacji i kontr-

reformacji przez wojny religijne XVI i XVII w., imperializm i kolonializm, rewolucję przemysłową i rozwój wielkich metropolii, aspirującą kulturę mieszczańską po zaoceaniczny purytyzm oraz myślenie totalitarne – zaczął normalizować (i przy okazji demonizować) myślenie o relacjach płci. Średniowiecze ze swoją niesłychaną różnorodnością języków, systemów społecznych, praw zwyczajowych, starych tradycji i przyzwyczajzeń dostarczało ogromnej liczby niestandardowych rozwiązań problemów, które wydają się nam typowe. Jedyną siłą uniwersalizującą w tym (wszech)świecie był Kościół, ale także Kościół, jak demonstruje Brzezińska, bywał nader elastyczny.

Na jedną sprawę jednak Brzezińska – jako historyczka – zwraca uwagę: nie da się wyrwać instytucji społecznej z jej kontekstu. Instytucje społeczne stanowią rozwiązania pewnych lokalnych układów równań, gier interesów i oczekiwań. Dlatego nie da się, przykładowo, bezpośrednio porównać dzisiejszego polskiego sporu o związki partnerskie z przypadkiem opisywanym przez Brzezińską w rozdziale „XLVIII. María Marín zostaje notarialnie konkubina”. Niemniej to fakt: w 1481 r. w Saragossie można było zostać parą urzędowo, „lecz jedynie na jakiś czas i bez mieszanina do tego Kościoła”. Przypadków takich – niestereotypowych z naszego punktu widzenia – transgresji Brzezińska podaje znacznie więcej. Poczytamy więc o kobietach, które w pewnych okolicznościach historycznych mogły działać jako rycerze, szeryfowie, sołtyś, szefowie księżących psiarni (brak feminatywów jest tu zamierzony – chodzi bowiem o męskie role będące udziałem

kobiet). Innym wątkiem przewijającym się przez całą książkę są spory i oskarżenia sądowe (ludzie średniowiecza uwielbiali się procesować): o alimenty, o samowolę budowlaną, o zadośćuczynienie, o wolną miłość – ich rozstrzygnięcia bywają bardzo zaskakujące. Jeszcze innym: historie o „kobięcych republikach”, czyli miejscach takich jak zakony, beginaże czy sekty, w których chroniły się mistyczki i intelektualistki, dochodząc niejednokrotnie do wniosku, że to w gronie kobiet można wierne naśladować Chrystusa i obmyślać nowy porządek świata.

Celowo nie wchodzę w szczegóły, bo z odkrywania przewrotności tych niedługich narracji czerpie się autentyczną przyjemność. Czasami zaś są to opowieści dramatyczne niczym współczesne historie true crime – jak rozdział „IX. Muta krzyczy w nocy”. „Na początku 1286 roku do bolońskiego sądu wpłynęło zawiadomienie o gwałcie popełnionym na Lucii, zwanej Mutą, czyli Niemą”. Sprawę owego gwałtu, dokonanego przez paru mieszkańców Bolonii na bezprizornej sierocie sprzedającej swoje ciało za pieniądze, Brzezińska wykorzystuje, by zrelacjonować przemiany samego pojęcia gwałtu – od zwyczajowych porwań uważanych niejednokrotnie za znakomitą formę zawarcia małżeństwa po chrześcijańską refleksję na temat podmiotowości kobiety w odezwaniu od jej statusu i pochodzenia. Sędzia, do którego pod koniec XIII w. w Bolonii trafiła owa sprawa, dostrzegł już, że ma do czynienia z przemocą seksualną. W dodatku był dociekliwy. Przესłuchał podejrzanych, świadków, ekspertów medycznych. Efekty były interesujące: „W tym postępowaniu naj-

więcej do powiedzenia miały ubogie, niezamężne kobiety (...), [które] na wypródkę występowały w obronie ubogiej kobiety z niepełnosprawnością, ofiary brutalnego zbiorowego gwałtu. Tymczasem mężczyźni wykręcali się od odpowiedzi i cierpieli na (...) zanik pamięci. Zeznania nieuprzywilejowanych, niezamężnych kobiet oraz świadectwo lekarza i położnej wystarczyły, by sędzia ogłosił wyrok”. I teraz pytanie – czy to była norma, czy odstępstwo od reguły? Muta, pisze Brzezińska, miała szczęście, że mieszkała w Bolonii, mieście prawników, w którym procedury były klarowne, a sędzią najprawdopodobniej powodował „etos (...) miejskiej republiki, która chroni wszystkich mieszkańców przed przemocą i dba o respektowanie prawa oraz porządku publicznego”. Kontekst decyduje. ©

Anna Brzezińska

„Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny. Przewodnik po średniowieczu zwykłych kobiet”, Marginesy, Warszawa 2026





FOT. WOJTEK GÓRSKI

Wojna na subsydia o rynek półprzewodników

Rafał Woś

Półprzewodniki bywają nazywane ropą XXI w. A to dlatego, że bez nich trudno w dzisiejszej gospodarce cokolwiek zbudować. Nic dziwnego, że na naszych oczach trwa regularna wojna ekonomiczna na subsydia o ten właśnie rynek. Chodzi nie tylko o to, by go zawojować. Ale bardziej nawet o to, żeby nie dać się z niego wypchnąć ani uzależnić od innych. Zanim któryś z dostępnych na rynku modeli sztucznej inteligencji odpowie na wasze mądre lub głupie pytanie, musi przeczesać niewiarogodnie wielkie bazy obrazków i porównać je na podstawie swoich algorytmów. Aby to nastąpiło, potrzebne są gigantyczne moce obliczeniowe. Te moce obliczeniowe składają się z klastrów, te zaś z serwerów. Serwer jest złożony z kolei z modułów, które są stworzone z układów scalonych.

Idźmy głębiej. Każdy układ scalony (czyli, mówiąc mniej precyzyjnie, czip) jest zbudowany z większej lub mniejszej liczby tranzystorów. Ów tranzystor to z kolei taki jakby przełącznik reprezentujący dwa stany: przewodzi albo nie przewodzi. I o to w tej całej zabawie chodzi. W ten sposób można bowiem zakodować zapis binarny, czyli dwójkowy (zero lub jedynka). Przy jego pomocy został zaś zakodowany cały otaczający nas cyfrowy świat. Po to, żeby maszyny mogły to łatwo czytać. Tak przetwarza się i przesyła dziś wszystkie informacje. Tak działają wszystkie nowoczesne technologie.

I tu dochodzimy do krzemienia. Bo krzem jest półprzewodnikiem. I – jak sama nazwa wskazuje – może przewodzić lub nie przewodzić. Dlatego właśnie półprzewodniki są takie ważne. Stoi na tym absolutnie cała elektronika użytkowa ostatnich 70 lat – od komputera osobistego do sztucznej inteligencji. Rynek czipów

powstał pod koniec lat 50. w USA. Stamtąd zaś rozprzestrzenił się na cały świat zgodnie z obowiązującymi w drugiej połowie XX i na początku XXI w. trendami rozwoju gospodarczego. Dość szybko kluczową rolę w przemyśle półprzewodników zaczęła odgrywać Azja. To firmy z Japonii, Korei, Tajwanu i Chin zaczęły przechwytywać dużą część ich fizycznej produkcji.

Branżę półprzewodników da się podzielić na cztery wielkie grupy produktów. Najważniejsze są rynki mikroprocesorów, z takimi graczami jak AMD czy Intel, oraz rozwijający się rynek systemów na czipie, gdzie dominują Nvidia, Broadcom czy Qualcomm. Inne rynki to produkcja pamięci (IBM, Samsung czy Toshiba) oraz standardowych układów scalonych. Jak widać, im bliżej użytkownika końcowego, tym większa jest dominacja korporacji amerykańskich. Azjaci są mocni oczywiście w podwykonawstwie i samej fizycznej produkcji (tajwański gigant TSMC). Europa ukontentowała się posiadaniem pojedynczych graczy wyspecjalizowanych w jednym konkretnym produkcie. Najlepszy przykład to holenderski ASML, globalny prymus budowy gigantycznych, niezwykle złożonych maszyn fotolitograficznych, przy pomocy których robi się najnowocześniejsze i najbardziej zaawansowane czipy.

Trzeba jednak wiedzieć, że ten obraz zmienia się bardzo szybko, wręcz na naszych oczach. I za parę lat może wyglądać już zupełnie inaczej. A to dlatego, że od mniej więcej dekady do gry weszły niesamowicie wielkie pieniądze i o rynek półprzewodników zaczęła się toczyć regularna wojna światowa. Jej ciekawe streszczenie dają w swojej nowej pracy ekonomiści Pinelopi Koujianou Goldberg, Reka Juhasz, Nathan Lane, Giulia Lo Forte i Jeff Thurm. W tej wojnie uczestniczą rządy takich krajów jak: Stany Zjednoczone, Chiny, Tajwan, Korea, Japonia oraz Indie. Rzuciły one do gry ciężkie miliardy państwowych subsydiów po to, by nie zostać w tyle w tej rywalizacji o półprzewodniki. Zaczęły Chiny, odpalając – jeszcze w 2014 r. – Narodowy Fundusz Rozwoju Układów Scalonych. Przedsięwzięcie warte ok. 50 mld dol. Ambicje podtrzymali w Planie Pięcioletnim na lata 2020–2025. Japończycy odpowiedzieli rządowymi programami rozwoju sektora półprzewodników z lat 2020–2021, które sumują się do kilkunastu miliardów dolarów. Korea Południowa rozbiła bank, wykładając na ten cel 72 mld dol. w Koreańskim Nowym Ładzie z 2021 r. Amerykanie wyłożyli na stół 40 mld dol. w ramach CHIPS and Science Act.

Efekty tego wyścigu będą pewnie widoczne w ciągu najbliższej dekady.

©

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Wiara, wiedza i wzrost gospodarczy

Czy modlitwa może spowolnić gospodarkę? A może ją przyspieszyć?

Ekonomiści coraz częściej zaglądają tam, gdzie kiedyś wstęp mieli tylko teologowie – w dusze społeczeństw. Odkrywają przy tym, że religia ma bardzo materialne efekty: wpływa na poziom edukacji, dochodów, a nawet na tempo wzrostu PKB.

Mara P. Squicciarini (Uniwersytet Bocconiego), badając XIX-wieczną Francję, pokazuje, że religijność zaczęła hamować rozwój gospodarczy dopiero w momencie, gdy postęp technologiczny zaczął wymagać od pracowników bardziej specjalistycznych kompetencji. Jako wskaźnik religijności autorka przyjmuje odsetek duchownych, którzy odmówili złożenia przysięgi wierności rewolucji w 1791 r. Okazuje się, że regiony silnie katolickie stawiały opór państwowemu programowi nauczania technicznego, wprowadzonemu po 1870 r., preferując tradycyjną edukację religijną.

W rezultacie 10–15 lat później, gdy te roczniki wchodziły na rynek pracy, zatrudnienie w przemyśle było tam istotnie niższe. Pracownicy ukształtowani przez system stawiający na katechezę, a nie na nauki ścisłe, nie byli przygotowani do obsługi maszyn z czasów drugiej rewolucji przemysłowej. Mechanizm blokujący rozwój był więc konkretny i zasadzał się na konflikcie między doktryną religijną a wiedzą niezbędną dla nowoczesnej gospodarki.

Inny obraz wyłania się z badań Saschy O. Beckera i Ludgera Woessmanna z Uniwersytetu Monachijskiego, analizujących XIX-wieczne Prusy. Autorzy podważają słynną tezę Maxa Webera o protestanckiej etyce pracy jako źródle dobrobytu, proponując w jej miejsce wyjaśnienie oparte na kapitale ludzkim. Ich zdaniem wyższy poziom rozwoju gospodarczego

regionów protestanckich był niezamierzonym efektem postulatów Marcina Lutera, by każdy wierny samodzielnie czytał Biblię. To religijne zalecenie stało się niespodziewanym motorem powszechnej alfabetyzacji.

Bazując na danych ze spisów powszechnych dla 452 pruskich powiatów, badacze potwierdzają, że regiony protestanckie rzeczywiście cechowały się wyższymi dochodami oraz szerszym zatrudnieniem w przemyśle i usługach. Kluczowy jest jednak inny fakt: bezpośredni wpływ wyznania na wyniki gospodarcze całkowicie znika po statystycznym uwzględnieniu poziomu alfabetyzacji. O przewadze ekonomicznej decydowały więc konkretne umiejętności, a nie specyficzna etyka pracy czy skłonność do oszczędzania.

Aby wykazać przyczynowość, badacze wykorzystali odległość od Wittenberga jako niezależny punkt odniesienia (tzw. instrument). Pozwoliło to dowiedzieć, że protestantyzm rozprzestrzenił się wokół tego miasta niezależnie od ówczesnych warunków gospodarczych. Wniosek jest klarowny: reformacja zwiększyła alfabetyzację, a ta z kolei przelożyła się na dobrobyt. Co najważniejsze, wpływ samej umiejętności czytania na zarobki okazał się identyczny u protestantów i katolików, co ostatecznie podważa tezę o szczególnej etyce religijnej jako źródle wzrostu.

Jeszcze dalej idą wnioski Davide Cantoniego (Uniwersytet Monachijski) i jego współautorów. Badacze ci analizują reformację jako proces ekonomiczno-polityczny, a nie tylko kulturowy. Przed 1517 r. Kościół katolicki działał jak monopolista dyktujący wysoką cenę za legitymizację władzy – płatną w ziemi, zwolnieniach podatkowych i wpływach politycznych.

Luteranizm, oferując „tańszą alternatywę zbawienia”, złamał ten monopol i wzmocnił pozycję negocyjacyjną władców.

W regionach protestanckich do 1600 r. liczba klasztorów spadła o ponad dwie trzecie. Kluczowe jest to, co się stało z majątkiem: nie został on przekazany nowemu Kościołowi, lecz uległ sekularyzacji. W Hesji władca przejął aż 40 proc. dóbr klasztornych, a w Wirtembergii środki te posłużyły do oddłużenia państwa i budowy świeckich rezydencji. Wyniki te sugerują, że to zmiana układu sił i twarda realokacja zasobów, a nie sama ewolucja mentalności, odegrały decydującą rolę w narodzinach nowoczesnego państwa.

A co z innymi religiami? Współczesne badanie Filipe’a Campante’a (Uniwersytet Johns Hopkinsa) i Davida Yanagizawy-Drotta (Uniwersytet w Zurychu) pokazuje, że wpływ wiary może iść w przeciwnym kierunku. Analizując dane z krajów muzułmańskich, autorzy odkryli, że każda dodatkowa godzina postu w Ramadanie obniża roczny wzrost PKB o ok. 0,7 pkt proc., ale jednocześnie zwiększa subiektywne zadowolenie z życia o niemal 10 proc. W czasie postu mniej się produkuje, za to więcej się rozmawia, modli i spędza się więcej czasu z rodziną. Ekonomia traci, ale społeczeństwo zyskuje poczucie sensu.

Wszystkie te badania prowadzą do wspólnego wniosku: religia jest cichym współautorem rozwoju. Czasem, gdy sprzyja edukacji i akumulacji kapitału ludzkiego, go przyspiesza. Innym razem, gdy przesuwając akcent z innowacji na duchowość, go spowalnia. W obu przypadkach jej wpływ jest namacalny, mierzalny i – jak pokazują ekonomiści – niemożliwy do zignorowania.

©

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych

Aleksandra

Makarska

Autorka jest ekonomistką GRAPE